NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, UL. ZIELONA 7.
Nr. TELEFONU 479.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok II. Kraków, 21 stycznia 1905 r. Nr. 4.

Panika w teatrze.



(Do artykułu na str. 2).

Numer ten zawiera 24 stronic druku!



Dążenia konstytucyjne w Rosyi: Wydział połączonych Izb adwokackich petersburskiej i moskiewskiej, który przesłał jedną z najostrzejszych rezolucyi domagających się konstytucyi

Panika w teatrze.

(Do illustracyi tytułowej).

Teatr jest jedną z tych instytucyj, gdzie ludzie mają przepędzać przyjemnie i z pożytkiem wolny czas, gdzie pod wrażeniem tego, co się na scenie dzieje — ma się pogłębiać i hartować dusza ludzka. A choćby tylko przepędzić kilka czy parę godzin wesoło i pogodnie — jest to dostateczną pobudką do pójścia do teatru na widowisko, gdyż w codziennem twardem życiu naszem każda wesoło spędzona chwila jest jak jaśniejąca nitka na tle szarzyzny.

Dlatego zrozumiałymi są dla nas wysiłki każdego większego zbiorowiska ludzi, każdego większego miasta, żeby wybudować gmach teatralny i utrzymać trupę. Nie dosyć tego, instynkt samozachowawczy zmusza człowieka do czynienia zabiegów koło tego, by miejsce, przeznaczone na przepędzenie najprzyjemniejszych chwil zabezpieczyć przed możliwem niebezpieczeństwem i katastrofą. Najnowsze zdobycze techniki zdążają do tego, by to niebezpieczeństwo w zupełności usunąć i w ten sposób usunąć jedną z dość wielkich przeszkód, powstrzymującą szersze masy od uczęszczania do teatru i obawę przed katastrofą.

Co pewien czas przynoszą dzienniki i agencye telegraficzne wiadomości przejmujące zgrozą wszystkich o jakiejś strasznej katastrofie teatralnej, która pozbawiła wielu ludzi największego skarbu: życia. W wielu wypadkach wina nieszczęścia tkwi w wadliwości urządzeń technicznych, nie dających dostatecznej rękojmi bezpieczeństwa. I choć geniusz ludzki dąży niepowstrzymanie do urządzenia gmachów teatralnych tak, by zabezpieczały publiczność przed najgroźniejszem i w ostatnich latach najczęściej powtarzającem się niebezpieczeństwem pożaru, przypomnijmy choćby tylko zeszłoroczny olbrzymich rozmiarów pożar w Chicago — choć w tym celu stworzono ogniotrwałe sufity, zawieszone na drutach, żelazne, a w ostatnich latach także z metalu aluminium budowane, od ognia zabezpieczające kurtyny, nie jest to wszystko jeszcze wystarczające, by usunąć często wprost dla oka najzdolniejszego technika niedostrzegalne i co więcej nie dające się przewidzieć niebezpieczeństwa.

Takiem właśnie niebezpieczeństwem, które zawisło nad głowami widzów, był wypadek, który się zdarzył w ubiegłym tygogniu w teatrze we Włocławku.

Podczas III. aktu „Małki Szwarzenkopf" rozległo się na widowni przeciągłe gwizdanie. Policya zoryentowała się szybko, że wyszło ono z galeryi. Był to objaw niezadowolenia ze strony tych, którym treść akcyi nie podobała się i którzy w ten sposób chcieli przeciw pewnemu epizodowi sztuki zademonstrować. Policyant, zobaczywszy jednego z gwizdających, udał się na galeryę, by wyprowadzić z sali demonstrującego widza, lecz ten, spostrzegłszy, co mu grozi, począł zmykać, a w przestrachu przed prawdopodobnem aresztowaniem schronił się na strych teatralny. Strażnik policyjny, będąc pewnym, że tam z pewnością ujmie przestępcę, zamieszającego spokój publiczny, udał się za nim na strych, lecz tu ku swojemu zdziwieniu nie znalazł już tego, za którym biegł. Sprytny widz skrył się za zagrodę na sufit ogniotrwały, zawieszony nad widownią na drutach.

Nieostrożny strażnik podążył za nim za zagrodę, lecz nagle dał się słyszeć straszliwy trzask i huk, bo oto sufit, zawieszony na drutach, nie mógł utrzymać ciężaru aż dwóch ludzi i począł się



Francya na przełomie: M. Combes.

walić. Sufit był obmyślony tak, by zabezpieczał przed możliwym pożarem i napięcie drutów, na których był zawieszony, wystarczało zaledwie na utrzymanie ciężaru samego sufitu.

Publiczność z przerażeniem poczęła się tłumnie cisnąć ku jedynemu wyjściu. Powstał krzyk i panika zapanowała na całej widowni.

Nagle z góry dał się słyszeć rozpaczliwy krzyk: Ratunku! Wszystkich oczy zwróciły się w stronę spadającego sufitu i oto na wysokości 4 pięter zobaczono człowieka, wiszącego na konwulsyjnie drżących rękach trzymającego się gzymsu. Był to ów strażnik, który w ślepym zapale wbiegł za zagrodę na sufit. Publiczność poczęła wyłamywać krzesła, by zrobić miejsce dla strażnika, któremu lada chwila groził upadek.

Ze sceny poczęto zrzucać sienniki i pościel, znajdującą się wówczas na scenie, by osłabić uderzenie przy spadaniu.

Ale w tym samym momencie rzuciło się dwu strażaków na ratunek i lotem błyskawicy wyciągnęli już prawie tracącego siły strażnika policyjnego. Dzielni strażacy uratowali człowiekowi życie i spełnili godnie swe obowiązki. Zaledwie kilka osób odniosło cięższe i lżejsze obrażenia od spadającego muru, reszta osób uspokoiła się wkrótce i wytrwała do końca przedstawienia w teatrze.

Załączona rycina przedstawia najgroźniejszy moment opisanego wypadku.

Dążenia konstytucyjne w Rosyi.

Społeczeństwo rosyjskie ujęte w ścisłe karby autokratyzmu (samodzierżawia) – pozbawione jest zupełnie możności zabierania głosu i decydowania o własnym losie, nie tak jak inne społeczeństwa używające dobrodziejstw konstytucyi.

Istota konstytucyi polega na udziale reprezentantów narodu w sprawowaniu rządów państwowych. Bez zgody i uchwały parlamentu nie może przejść żaden projekt rządowy, dotyczący czy to podatków, czy poboru rekruta, czy nawet zasadniczych zmian w ustawodawstwie. Tego wszystkiego pozbawionym jest naród rosyjski, któremu przysługuje jedyne prawo: biernego poddania się woli panującego i ślepego posłuchu chociażby za cenę najżywotniejszych swych interesów.

Nie mogąc więc w drodze ustawowej i legalnej wystąpić u rządu ze swojemi potrzebami i żądaniami — jest po prostu lud rosyjski zniewolony chwycić się dróg nielegalnych (w rozumieniu czynownictwa) i dopomina się o swe prawa w sposób i w formie dla rządu wrogiej.

Zapaleńsza część społeczeństwa wypowiada się w hałaśliwych demonstracyach, rewolucyjnych zgromadzeniach i zamachach na ludzi i instytucye, które uważa za przyczynę i źródła swego upośledzenia. Widowniami podobnych zajść były niemal wszystkie większe i mniejsze miasta Carstwa i Królestwa polskiego. Rozruchy były tłumione wojskiem i żandarmeryą. Z obu stron padały strzały, z obu stron krew się lała. Mimo tego wszystkiego — rząd okazał się zarówno bezsilnym w uporządkowaniu po swej myśli wewnętrznych swych stosunków, jak bezsilnym zewnętrznie okazał się w prowadzeniu nieszczęśliwej wojny wschodniej. Bunt stłumiony w jednem miejscu – wybucha żywiołową siłą w drugiem, a cała Rosya podobną jest do podminowanego terenu. W ten sposób dopomina się i walczy o swe prawa lud.

Spokojniej i głębiej myśląca część społeczeństwa: intelligencya i instytucye ziemskie zmierzają inną drogą do tego samego celu. Urządzają oni publiczne zgromadzenia protestujące przeciw obecnemu porządkowi rzeczy. Na zgromadzeniach tych zabierają głos wybitni ludzie, uczeni i prawnicy. Wska



Nowa ozdoba Krakowa: Nowo budująca się restauracya przy placu Szczepańskim.

zują gdzie przyczyn złego szukać należy, obradują nad środkami ratunku i uchwalają energiczne rezolucye do najwyższych władz i tronu, z jasno określonemi żądaniami. Jednak każdy wolnomyślny objaw, każdy choćby najbardziej umiarkowany ruch konstytucyjny jest w oczach caratu zbrodnią, którą ścigać i karać należy. Rząd rosyjski uważa nawet ten spokojny stateczny objaw niezadowolenia za stokroć groźniejszy niż krwawe ludowe zamieszki rewolucyjne, wybuchające co chwilę na bezmiernych obszarach państwa.

To też policya i żandarmerya tropi i prześladuje z całą zajadłością takie zebrania — przeszkadza odbyciu się ich — a gdy już żaden środek nie pomaga używa się siły i gwałtu, by tylko je udaremnić.

Wskutek nietaktu i bezrozumu tych ludzi — zgromadzenia te przybierają charakter ostry: przychodzi do ekscesów i zaburzeń, pociągających za sobą aresztowania i bójki, nierzadko nawet i krwi rozlew.

Zamknięte a raczej rozpędzone zgromadzenie — zbiera się natychmiastowo w innem miejscu i ustawicznie ścigane i prześladowane — uchwala swoje rezolucye i przesyła je struchlałemu Petersburgowi.

Na czele świadomego zorganizowanego ruchu konstytucyjnego, stanęły instytucye zwane „ziemstwami“. Jeżeli ogółem może być mowa o jakichś pozorach konstytucyjnych urządzeń w Rosyi, to takim cieniem ich lub parodyą są owe „ziemstwa“. Dosyć ciekawą jest ich geneza. Z dawien dawna sprawowała szlachta władzę sądowniczą i opiekuńczą nad chłopem. Po uwłaszczeniu włościan, utworzył rząd rosyjski osobną instytucyę dla nich t. zw. „wołosti“, które objęły dawne atrybucye szlachty w stosunku do ludu. Po za ludem mieszkają na terytoryum włościańskim i inne klasy: szlachta (więksi posiadacze) — kupcy i przemysłowcy. I o nich pomyślał również „ojcowski“ „rząd“ cara i stworzył im t. zw. „ziemstwa“—poddając równocześnie tę instytucyę patronatowi i dozorowi gubernatorów. Już *eo ipso* działalność ziemstw owych została zupełnie skrępowaną, aczkolwiek zakres jej i kompetencya była nader szczupłą. Do ziemstw należało zakładanie i utrzymywanie szkół szpitali, budowanie dróg i t. p. Ziemstwa były solą w oku gubernatorów, którzy wszystkiemi siłami dążyli do zgniecenia ich. Zrozumiemy łatwo zaciekłość ich i rozbestwienie, gdy ziemstwa — całkiem niespodzianie, miast obradować nad szpitalami i budową dróg — zabrały głos w sprawie uzdrowienia stosunków państwowych i przebudowania wadliwego systemu rządzenia. Ale nietylko ziemstwa, jako instytucye, zajęły takie stanowisko w ruchu konstytucyjnym. Za ich przykładem poszły korporacye kupieckie, związki uczonych, izby lekarskie i adwokackie. Wszyscy odbywają podobne protestujące zgromadzenia — wszyscy żądają w sposób stanowczy swobód konstytucyjnych.

W niniejszym numerze podajemy wydział połączonych izb adwokackich: petersburskiej, moskiewskiej, których członkowie przesłali na ręce władz jedną z najostrzejszych rezolucyi o nadaniu ludowi konstytucyi.

Francya na przełomie.

Francya przechodzi obecnie przełom...

Walka rządu we Francyi, popieranego przez frakcye republikańskie, demokratyczne i socyalistyczne deputowanych — z opozycyą, kierowaną przez nacyonalistów przebiła się na zewnątrz w ostatnich dniach w dwu ważnych nadzwyczaj dla polityki faktach, które musiały dojść do uszu nawet tych, co polityką zajmują się przygodnie: — w zmianie prezydenta izby deputowanych i w ogłoszonem już jako rzecz pewną ustąpieniu prezydenta ministrów, Combesa.

Henryk Brisson, dotychczasowy przewodniczący izby, ustąpił z krzesła prezydyalnego w zeszłym tygodniu. Z przekonań gorący republikanin i znakomity polityk, który jako deputowany zaznaczył się w historyi trzeciej republiki tem, że w imieniu najskrajniejszej lewicy przedłożył we wrześniu 1871 roku wniosek powszechnej amnestyi dla politycznych przestępców, oddał gabinetowi dzisiejszemu wielkie usługi, zajmując swe stanowisko od roku 1895.

Na jego miejsce został wybranym Paweł Doumer, który przy głosowaniu zwyciężył swego poprzednika 25 głosami. Nikt z partyi rządzącej nie spodziewał się tego, że Doumer postawi swą kandydaturę. Gabinet Combesa musiał uważać za porażkę upadek Brissona, jeżeli już nie za klęskę. Tem dziwniejszem wyda nam się całe zajście, jeżeli dodamy, że nowo wybrany prezydent izby jest również republikaninem. We Francyi ma miejsce ten smutny nadzwyczaj fakt, dający się zauważyć od szeregu lat: walka osobistości. Za wielu jest kandydatów na ministrów i inne najwyższe stanowiska w republice, tak, że wszyscy, choćby nie wiadomo, jak szybko się oni zmieniali, ministrami zostać nie mogą. Walka ideowa zeszła obecnie na plan drugi.

Na poparcie tych wywodów można przytoczyć i wynik ostatniego głosowania Izby, która 380 głosami oświadczyła się za programem rządu, t. j. zsolidaryzowała się w zupełności z kierunkiem reform Combesa. Walka osobistości zmusza Combesa do ustąpienia ze stanowiska prezydenta ministrów, gdyż ona i ciągłe interpelacye nacyonalistów francuskich uniemożliwiają produktywną w tym czy owym kierunku pracę parlamentu.

Nowy prezydent Izby, Paweł Doumer, zajmował w republice wybitne stanowisko nawet jako deputowany. Urodzony w roku 1857 w Aurillac, zaszczytnie ukończył szkoły i przez pewien czas wykładał matematykę w Collège de Mend w liceum w Laon, aż w końcu objął redakcy jednego z republikańskich dzienników. Wstąpiwszy w ten sposób na arenę polityczną, awansował szybko na najwyższe stanowisko. W roku 1888 wstępuje do parlamentu jako deputowany. W roku 1895 obejmuje tekę ministra finansów w gabinecie L. Bourgeois, a w następnym roku został zamianowany gubernatorem generalnym kolonij francuskich w Indo-Chinach, na którem to stanowisku odznaczył się jako znakomity administrator.

Republikanin wybrany głosami przeważnie nacyonalistów, został przyjęty przez lewicę głośnem oburzeniem i z pewnością zaufania tej frakcyi nie uzyska.

Nowa ozdoba Krakowa.

Na placu Szczepańskim, który powoli zaczyna się zabudowywać pięknymi pałacami, jako to pałac Sztuk pięknych i nowy budynek koncertowy, przerabiany obecnie ze starego teatru, powstaje obecnie nowy interesujący budynek, mianowicie restauracya i kawiarnia p. Drobnera.

Pan Drobner, radca miejski i właściciel domu naprzeciw pałacu sztuki, zachęcony powodzeniem, jakiem się cieszyła jego letnia kawiarnia na plantach, postanowił istniejącą już w swej realności kawiarnię rozszerzyć i zbudować nowy okazały gmach, według projektu znakomitego architekty twórcy krakowskiego teatru profesora Zawiejskiego

Pawilon ten, którego podobiznę przynosimy naszym czytelnikom, wykonany będzie z cegły i żelaza, oraz ozdobiony kunsztowną robotą ciesielską jak to rycina przedstawia.

Wyglądać będzie jak można wnosić z projektu bardzo efektownie. Mianowicie efekta te stanowi całość, lotna misterna i niemal koronkowa, filuterne daszki, okna o fantazyjnych kształtach, kapitele, gzymsiki i całe mnóstwo tych wdzięcznych drobiazgów architektonicznych jakie w ręku utalentowanego mistrza składają się na wytworzenie miłego oku budynku.

Sala będzie elektrycznie oświetlona centralnie ogrzana i wentylowana, a o rozmiarach większych niż np. sala w hotelu Saskim. Cały budynek będzie oszklony szkłem lustrowem. Urządzenie będzie bardzo eleganckie i wykwintne. W kawiarni tej będą się odbywały również koncerta. Podobno będzie już otwarta z końcem marca. Wykonaniem projektu zajmuje się budowniczy p. Kleinberger. Jego projektu są, o ile pamiętamy bursa w Bochni, dom przedpogrzebowy na izraelickim cmentarzu w Krakowie oraz cały szereg will i budynków publicznych. Nowy lokal wkroczy w szranki przemysłu kawiarnianego, jako rywal Grandów, Sauerów, Wójcikiewiczów i tylu innych pierwszorzędnych kawiarń.



KWIAT NĘDZY

POWIEŚĆ.

16 (Ciąg dalszy).

— Winy rodziców nie spadają na dzieci — rzekła księżna poważnie i smutnie.

Powstała z ławki, wyjęła z portmonetki dwa banknoty i jeden z nich stróżce podała.

— Jeśli nieszczęśliwe powrócą, to oddajcie im te dwadzieścia pięć rubli... i powiedzcie, że Zosia znajduje się w bezpiecznem miejscu i że mogą przyjść do niej... że zostaną najżyczliwiej przyjęci. Oto mój adres.

To mówiąc podała stróżce bilet wizytowy wraz z drugim banknotem.

— Dziesięć rubli dla was, od Zosi, za to, żeście o niej nie zapomnieli.

Wyszła szybko z izby dla uniknięcia podziękowań.

Kareta była już daleko, a astmatyczka nie mogła jeszcze przyjść do siebie, przejęta zdziwieniem. Mięła banknoty w ręku i mruczała pod nosem:

— Jeden papierek dla Żarskiej, drugi dla mnie... Dwadzieścia pięć i dziesięć rubli... Jakaś szlachetna osoba... Musi być wielga pani!

Właśnie w tej chwili lokatorka z pierwszego piętra, żona urzędnika z magistratu, mijała otwarte na rozcież drzwi izdebki. Stróżka spostrzegła przechodzącą i poskoczyła ku niej.

— Paniusiu najdroższa, przepraszam bardzo... ale niech paniusia z łaski swojej będzie tak dobra i przeczyta mi, co stoi napisano na tym karteluszu?

Lokatorka wzięła bilet do ręki i przeczytała:

— „Amalia księżna Sieńska“. Smolna, 14.

— Tam, do dyaska! księżna... wielga... bardzo wielga pani! Dziękuję mocno i pokornie przepraszam, żem fatygowała... – Mruczała ciągle: — Wielga, wielga pani!

— A o cóż to chodziło?

— Już ja to, proszę paniusi innym razem opowiem.

. . . .

Księżna kazała stangretowi zatrzymać się na Krakowskiem-Przedmieściu przed kościołem O. O. Karmelitów, wiedziała bowiem, że o tej porze znajdzie tam księdza Wielogrodzkiego, który popołudniu przychodził tu się modlić codziennie; często zaś z rana w ulubionej sobie pięknej świątyni Mszę świętą odprawia; co tydzień w niej także rozdziela jałmużnę między znanych sobie ubogich — i nieraz miewa na nieszporach słynne kazania, na których gromadzą się tłumy pobożnych, wszystkich stanów.

Właśnie stał na ambonie, gdy księżna weszła do kościoła.

Zwróciła się więc, przeciskając się wśród licznych słuchaczy Bożego słowa, do kaplicy, przyozdobionej marmurowym pomnikiem, wyobrażającym Chrystusa Pana, spoczywającego na śmiertelnej pościeli — i wzburzona jeszcze do gruntu tem, co usłyszała na Nowem-Mieście, pragnąc zebrać rozpierzchnięte myśli i zapanować nad wzruszeniem, uklękła przed ołtarzem.

O kilka kroków za nią stali w cieniu Graziella i Kwiat-Nędzy, przysłani tu przez Złotą-Rączkę, która wyczytawszy w „Kuryerze porannym“, że u Karmelitów odbywać się będzie solenne, wieczorne nabożeństwo, na które zwykle uczęszcza arystokracya, wyprawiła tam dzieci na żebraninę. Lecz Janek i Rózia, niechętnie wyciągający ręce po datki, a nadto strasznie zmęczeni całodziennem krążeniem po mieście, schronili się do prawie pustej kaplicy, żeby w niej odpocząć.

Graziella, ujrzawszy księżnę, szepnęła towarzyszowi do ucha:

— Tę panią, żebym śmiała, to poprosiłabym może o wsparcie, bo widzi mi się, że musi być bardzo dobra. Dostawszy co od niej, moglibyśmy drapnąć zaraz do budy, pewni, że nas wieczorem nie czeka chłosta.

— O, ja nie ośmieliłbym się za nic w świecie. Ręka mi drży, gdy ją wyciągam po jałmużnę i zawsze lękam się, czy nie zemdleję.

— To prawda, żeś ty nie urodził się do takiego rzemiosła. Co innego ja i Piotruś. My od maleńkości żebrzemy, bo nas żadnej pracy Złota-Rączka nie nauczyła. Ty pochodzisz z uczciwej rodziny. Nie miałeś matki żebraczki, a ojciec twój zarabiał na życie, gdy my z Pietrkiem ulęgliśmy się w błocie, z którego może nigdy wyleść nie zdołamy.

Po tych słowach, wymienionych przez dziewczynkę szeptem, uklękli oboje i zaczęli modlić się gorąco.

Księżna, chociaż bardzo pobożna, dziś modlić się nie mogła, powstała więc, a obróciwszy się, spostrzegła dzieci za sobą. Zbliżyła się do nich i w złożone rączki Grazielli wsunęła złotą monetę. Ta spojrzała na pieniądz, potem na pochyloną nad sobą wielką damę i rzekła cicho.

— Pani pewno się pomyliła... to dziesięć rubli w złocie.

— Nie, nie pomyliłam się moje dziecko – odpowiedziała księżna, przesuwając rękę, opiętą białą rękawiczką, po włosach dziewczynki. Pomódlcie się oboje za nieszczęśliwszych od was.

I odeszła.

Dzieci uradowane przycisnęły się do siebie. Od dnia, w którym Janek dostał się do „budy“, wytworzyła się między niemi przyjaźń serdeczna. Jedno za drugie gotowe było życie oddać. Rózia i Piotruś stawali zawsze w obronie towarzysza, ile razy tylko Czupiradło lub Złota-Rączka bić go chcieli — a zdarzało się to dosyć często. Pomimo przywiązania do Grazielli i Marco-Spady, Kwiat-Nędzy nie zapomniał jednak o Sabince i o Zosi, które kochał jak siostry rodzone i marzył o nich po całych nocach.

Pomodliwszy się jeszcze chwilkę, powstali oboje i opuścili kościół. Na ulicy rzekła Graziella do Janka:

— Nie oddamy matce wszystkich pieniędzy... damy Piotrusiowi, żeby je zmienił. Trzeba część zachować na inny raz, gdy nic nie użebrzemy.

— Zrobisz, jak zechcesz — odparł Kwiat-Nędzy.

W „budzie“, na Czystem, czekał na nich Pietrek, bardzo blady i smutny, zmieniony do niepoznania.

— Czyś sam? — zapytała Rózia.

— Tak. Oni jeszcze nie wrócili. Chciałbym, do dyaska, żeby wcale nie przyszli!

— Cóż ci się stało?

— Stłukłem wszystkie figurki.

— Wszystkie?

— Co do jednej!

— No, nie smuć się – zawołał Janek — mamy dziesięć rubli w złocie, to...

Nie skończył mówić, gdy drzwi nagle się rozwarły, a na progu ukazała się Złota-Rączka z Czupiradłem.

— Co? co? wrzasnęła baba. Czy myślicie, że nie słyszeliśmy waszego mamrotania? Oddać mi zaraz dziesięć rubeliansów w złocie, które moje ukochane dziecko, mój Kwiatuszek-Nędzy, nie wiem gdzie zjuchcił!

— Nie zjuchcił! dała mu je jakaś dobra pani w kościele — rzekła oburzona Graziella.

— Byłam pewną, że ten mikrus łatwiej zarobi żebrząc, niż sprzedając pomarańcze. Słowem trafił na właściwy dla siebie interes... i zarabia, zarabia! Nie tak, jak Piotruś, do niczego, próżniaczysko, leniuch...

— Który tłucze figurki, wyprawiając z chłopakami szprynce na ulicy — dodał Czupiradło. – Powiadam ci łobuzie, że po raz ostatni przebaczam... a chociaż Złota Rączka ma do ciebie słabość, boś ładny i zwinny, jeśli cię jeszcze kiedy przyłapię na nowej szkodzie, puszczę ci krew nietylko z nosa... Zobaczysz!... No, a teraz dość próżnego rechotania. Matka! dawaj papać, bo żywot mój gwałtu krzyczy o kolacyę.

Złota Rączka zabrała się do odgrzewania wczorajszej strawy – a dzieci, drżące od zimna i umierające z głodu, siadły rzędem w najciemniejszym kąciku izby, oczekując w milczeniu na resztki wieczerzy, jakie na stole po rodzicach zostaną.

XVI.

Księżna, opuszczając świątynię, weszła naprzód do zakrystyi, żeby zobaczyć się z księdzem Wielogrodzkim.

— Księdza hrabiego, dobrodzieja naszego — powiedział, nisko kłaniając się zakrystyan — już niema. Dziś, nie czekając długo, szastu prastu, narzucił na siebie futro i wyszedł. Właśnie chciałem...

Nie czekając na rozwlekłe opowiadanie gadatliwego sługi kościelnego, który bardzo rozprawiać lubiał, księżna podziękowała mu za informacyę i wysunęła się z zimnego, prawie zupełnie już opróżnionego kościoła.

— Do mego brata – powiedziała stangretowi, wsiadając do powozu.

Ksiądz Wielogrodzki mieszkał za katedrą św. Jana, przy ulicy Kanoniczej. Zajmował parę niedużych pokoików, przyozdobionych kilku znakomitemi dziełami sztuki, wyborową biblioteką i widokiem na Wisłę, rozciągającym się za oknami rozległą, interesującą panoramą. Prócz obrazów i bogato oprawnych książek, całe urządzenie i umeblowanie mieszkania było bardzo skromne, nienoszące na sobie wcale znamion wytworności i zbytku, do jakich lokator od dziecka był przyzwyczajony.

Księżna lekko przebiegła niewygodne schody, prowadzące na drugie piętro i zadzwoniła do drzwi, na których wisiał obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, oprawiony w żelazną ramkę. Zatrzask i łańcuch bezpieczeństwa — jakiemi w Warszawie opatrzone bywają wszystkie główne do mieszkań wejścia — szczęknęły zgrzytliwie, drzwi się otworzyły, a w nich ukazała się stara, siedemdziesięcioletnia służąca, którą wielka pani ucałowała serdecznie w oba policzki, mówiąc:

— Jak się masz Joasiu?

— Dzięki Bogu, jeszcze zdrowa. Właśnie panicz powrócił z kościoła i wybiera się na obiad do księżnej pani.

— Przypuszczam, że przyjechałaś po mnie — rzekł ksiądz, ukazując się na progu przylegającego do przedpokoju saloniku.

— Tak... lecz wprzódy chciałabym tutaj pomówić z tobą.

— Ależ proszę cię... jestem na twoje usługi.

Wprowadził siostrę do swojej szczupłej bawialni, usadowił w wygodnym skórzanym fotelu, a sam zbliżył się do kominka, na którym ogień dogasał. Wyjął z koszyka, stojącego obok, nieco drewek, rzucił je na żarzące się węgle, poczem mieszkiem dmuchnął raz i drugi — i nagle buchnął z nich jasno-czerwony płomień, jaskrawymi językami obejmujący drzewo i rzucający na białe ściany złote blaski.

— Mamy dziś nadzwyczajne zimno — szeptał poprawiając żelaznym pogrzebaczem drzewka.

— Coraz zimniej na świecie. Straszliwe mrozy dokuczają biednym i wydziedziczonym okrutnie.

— Tak, tak... i ja właśnie myślałem o tem — odparł ksiądz, chmurząc jasne czoło. Lecz powiedz mi z łaski swojej, o czem to miałaś mówić ze mną?

— Nie chciałam ci przeszkadzać, widząc, jak bardzo zajęty jesteś rozniecaniem ognia.

— Ba! nie żartuj... wiesz przecie, że to moja jedyna mania. Lubię płomień i lubię grzać się przy nim, chociaż nieraz wyrzucam sobie, że korzystam z ciepła, gdy inni... Dość o tem! Domyślam się, że przyjechałaś, żeby mi coś donieść o Zosi.

— Tak, przybywając tu, Zosię miałam na myśli.

— Przypuszczam, że musi mieć się znacznie

lepiej, bo inaczej nie zdecydowałabyś się na oddanie wizyty. W takim razie, moja droga, należy ją wybadać i dowiedziawszy się, gdzie mieszkają jej rodzice... lub krewni... zwrócić im dziecko. Wprawdzie, za tak długie przetrzymanie małej u siebie, nie ciąży na tobie żadna wina, dziewczynka bowiem dotąd uparcie milczała... lecz, bądź co bądź, czas wielki uczynić obowiązkowi zadość.

— Dziś przemówiła nareszcie...

— I to cię dręczy... rozumiem. Przykro ci się rozstać z jasnowłosem dziewczątkiem, którego widok sprawił ci wielką radość i którem zajmowałaś się jak najczulsza matka... lecz ileż to razy w życiu, moja Melciu, w imię obowiązku wszelkich przyjemności, poświęcając siebie i gorące uczucia swoje dla drugich... więc i teraz jestem pewny, że się poświęcisz. Poczem, po chwilowem zamyśleniu się, dodał — Opatrzność rzuciła Zosię pod moje stopy... a Opatrzność miewa zawsze rozumne cele. Widzisz, moja droga, ja... jako chrześcianin, kapłan i człowiek, nie wierzę, aby szczęście i nieszczęście ludzkie zależne było tylko od igraszki losu i przypadku...

— Co do mnie, wierzę w wpływy losu... a nawet przeznaczenia, lecz kierowanego ręką Opatrzności, jak wierzę w nieskończoną dobroć twojego zacnego serca, z którego czerpię zawsze otuchę i siłę do znoszenia najboleśniejszych zawodów!

Dość długie milczenie zaległo w pokoju.

Księżna, siedząca na starym fotelu, ukryła twarz w dłonie i zadumała się głęboko. Zaczęła przypominać sobie wyrazy stróżki z Nowego-Miasta, które tak mocno ją wzruszyły i wstrząsnęły całą jej duchową istotą. Po chwili powtórzyła je bratu, niemal dosłownie. On słuchał uważnie, potem zbliżywszy się do siostry, rzekł tonem, pełnym powagi i namaszczenia:

— Zatem nasz dobry uczynek stał się przyczyną wielkiego nieszczęścia. Tajemne i niezrozumiałe dla śmiertelnych są wyroki Pańskie!... Matka i druga córeczka biednego Żarskiego zniknęły... Mówię „biednego", bo świętymi dla mnie są wyrazy boskiego Nauczyciela: „... sądźcie, jeśli nie chcecie być sądzeni!"... Obecnie, po miesiącu, może jedna i druga nie żyje... a może włóczą się po zaułkach i zapadłych kątach bliższych lub dalszych okolic Warszawy, w pośród zgrai rzezimieszków i rozbójników. Odszukać ich, będzie rzeczą bardzo trudną... Jeśli zaś nawet je odszukamy, pytanie, czy ślepa po tylu ciosach, bijących w jej serce i głowę, nie postradała zmysłów...

— Udam się jutro do głównego zarządu policyi...

— Obowiązkiem naszym jest ocalić babkę i wnuczkę, bo jeśli nawet Żarski istotnie popełnił zbrodnię, ciężar jej nie powinien ich przygniatać... Dzieci nie mogą cierpieć za winy rodziców!

— A atawizm? — spytała księżna, przesuwając dłonią po czole.

— Nie wierzę w atawizm!... Gdybym zaś nawet wierzył, tem bardziej czułbym się obowiązany bronić od fizycznych skutków dziedziczności dwie duszyczki dwóch istot, zaledwie wkraczających w życie; bo dusza nieśmiertelna z atawizmem niema nic wspólnego. Atawizm czepia się tylko ciała. Na duszę zaś mogą oddziaływać równie dobre, jak złe wpływy... Wszystkie zatem nasze zabiegi i usiłowania, powinniśmy droga siostro, skierować ku jednemu celowi: odszukać opuszczone i zbłąkane, a skazane na śmierć głodową dla tego tylko, że ich ojciec był nicponiem. Chciałbym przekonać świat cały, że wszystkie dzieci bez wyjątku, muszą być równemi wobec ludzi, jak równemi są wobec Boga!

— Wiem.. wiem, że kochałeś je zawsze...

— Tak, kocham je, bo kochać muszę wszystko, co piękne i czyste, co jest ziarnem, wydać mogącem dobry plon w przyszłości... A ty, czyż ich nie kochasz? czy przywiązanie twoje do Zosi nie jest tego dowodem? czy nie poświęciłabyś wiele, żeby ją tylko przy sobie zatrzymać?

— Odżyłam, od czasu, jak bawi w moim domu. Przypomina mi moją Janinkę... Sam powiedziałeś, że do niej bardzo podobna...

— Pamiętaj jednak, że masz synowca...

— Jerzego?

— Tak, Jerzego, syna naszego zmarłego brata.

— Lecz powiedz, czy możemy przewidzieć czem się on stanie, chociaż pokładamy w nim wszystkie nasze nadzieje?

— Stać się musi uczciwym człowiekiem i utrzymać cześć naszego nazwiska.

W saloniku księdza Wielogrodzkiego zapanowało znowu długie milczenie.

Księżna zamyśliła się powtórnie. Przeczucie wiszącego nad nią nieszczęścia, zasępiło jej myśli i czoło. Po niejakimś czasie rzekła nareszcie:

— Zgadzam się z tobą, że jak dotąd wszystko przemawia na korzyść Jerzego, a jednak instyktowna jakaś obawa dreszczem mnie przejmuje. Przed chwilą pytałam cię, czy wierzysz w atawizm. Myślałam wówczas wprawdzie o Zosi, lecz równocześnie myślałam także i o Jerzym. Ojciec jego był człowiekiem honoru i pełnym honoru i pełnym prawości, lecz matka... matka!... ta ohydna Leonia, godna siostra Marceliny Jelskiej...

— Nie wspominaj mi o niej — przerwał kapłan — nie wspominaj mi również o jej siostrze!... Zgon Jelskiego pokrywa jakaś straszna tajemnica. Znam osoby, które wątpią, aby jego mordercą był doktór Żarski. Słyszałem ludzi bardzo kompetentnych, utrzymujących, że wyrok nań wydany jest błędem, a raczej pomyłką sądową...

— Kto wie?!... kto wie?!

— Jeśli kiedykolwiek niewinność nieszczęśliwego stwierdzoną zostanie, sprawiedliwość zmuszoną będzie szukać prawdziwego winowajcy, a wtedy wyjść mogą na jaw przeróżne nikczemne sprawki i skandale, tak Marceliny jak i jej siostry...



Ba! nie żartuj... wiesz przecie, że to moja jedyna mania...

— Co się z nią stało?... co się z nią dzieje teraz?

— Nie chcę wiedzieć o tem! — odparł ksiądz i machnąwszy ręką, przysunął krzesełko do komina, a usiadłszy na niem, zatopił się w przykrych dumaniach.

. . . .

Smutnemi były dzieje przedostatniej generacyi rodziny Wielogrodzkich.

Należeli do niej dwaj bracia rodzeni, Maksymilian i ksiądz Jan-Maryan, oraz siostra Amelia, księżna Sieńska. Żadne nie cieszyło się długiem szczęściem. Cios po ciosie spadały na nich, okrywając, kochającą się wzajemnie trójkę, ciężką żałobą. Najdotkliwiej, w pierwszej chwili, los doświadczał Amelię. W kilka lat po ślubie utraciła męża, człowieka wielkich zasług, powszechnie szanowanego. W niespełna rok po nim, jej jedynaczka, ubóstwiana Janinka, spoczęła obok ojca w familijnym grobie na Powązkach.

Księżna, złamana boleścią, zamknęła się w domu swoim przy ulicy Smolnej, nie udzielając się niemal wcale arystokratycznemu światu, do którego należała urodzeniem, majątkiem i stanowiskiem. Poświęciła się cała uczynkom miłosiernym, przyjmując u siebie tylko obu braci. Powoli jednak... powoli... i w jej duszę, skołataną srodze, wlewać zaczął czas (zabliźniający wszelkie rany) balsam ukojenia, zmniejszający do pewnego stopnia żal po poniesionych stratach. Gdy nagle, Maksymilian — bywający u niej rzadziej od księdza Jana — zawiadomił ją listownie o swojem bliskiem małżeństwie z Leonią Skopińską, dziewczyną bez posagu, lecz zachwycająco piękną. Księżna, zaniepokojona szybkiem, a nieoczekiwanem postanowieniem brata, zaraz po otrzymaniu zawiadomienia, opuściła domowe zacisze i zaczęła oddawać liczne wizyty, celem zebrania wiarygodnych wiadomości o zupełnie dotąd jej nieznanej rodzinie narzeczonej. Informacye okazały się fatalne. Ojciec i opiekun Leonii i Marceliny, karciarz i rozpustnik, syn i wnuk finansistów semickiego pochodzenia, lecz ludzi uczciwych, oddawna asymilowanych przez społeczeństwo z zacnymi i znanymi szlacheckimi domami, straciwszy z paniczykami wielki majątek na grę i hulanki, utrzymywał się obecnie na powierzchni tak zwanego wyższego towarzystwa, prowadząc skrycie brudne, oszukańcze interesa, a wstrętnymi zyskami, jakie z nich otrzymywał, złocił nędzę, która po śmierci żony, a matki obu panien — osoby rządnej i gospodarczej — zakradła się do znanego czytelnikom mieszkania, przy ulicy Senatorskiej.

W niem to Maks — odbywający w Warszawie, jako porucznik, powinność wojskową — wciągnięty zręcznie przez Roberta Skopińskiego, poznał śliczną Leonię, pokochał ją namiętnie i poślubił, pomimo serdecznych perswazyi i stanowczego oporu tak brata, jak siostry. W niem również, w parę lat potem, piękna Marcelina wyszła za hrabiego Jelskiego. Tym sposobem obie ubogie, lekkomyślne i najgorzej wychowane panny, pozbawione wszelkiego poczucia moralności, dyszące rządzą użycia, a nie krępowane ani zasadami etycznemi, ani religią, połączyły się małżeńskimi węzłami z ludźmi bogatymi i noszącymi znane w kraju nazwiska.

Leonia wkrótce po weselu, udała się na Wschód, wraz z mężem, wysłanym przez zwierzchność wojskową na Kaukaz. W Tyflisie urodził się Jerzy — i w Tyflisie także, niegodziwa żona i matka, nudząca się straszliwie w obcem sobie otoczeniu, nie umiejąca poświęcić się poważnym obowiązkom, dała się wykraść jakiemuś milionowemu Amerykaninowi, z którym odpłynęła w świat szeroki, opuszczając z bezczelną obojętnością i lekkiem sercem dziecko i męża.

Zrozpaczony Maks hr. Wielogrodzki, podał się do dymisyi, powrócił z synkiem do Warszawy i zamieszkał w pałacu księżnej, na Smolnej. Boleść jego, zamiast się zmniejszać, wzrastała z dniem każdym. Chociaż czuł się upokorzony niecnym czynem Leonii, chociaż cierpiał okropnie, myśląc o hańbie, jaka go okryła, tęsknił za nią i kochał całą gwałtowną siłą pierwszej w życiu miłości... Pewnego poranku zastała go siostra w jednym z pokoi swego domu, leżącego na posadzce, broczącego we krwi, upływającej z głowy, roztrzaskanej kulą rewolwerową.

Pokój, w którym samobójca pozbawił się istnienia, zamieniono z rozkazu Amelii, na znaną nam kaplicę.

. . . .

Wspomnienie strasznej katastrofy rodzinnej, w całej swej smutnej grozie, odżyło nagle tak w sercu, jak umyśle brata i siostry. C. d. n.



Przełom we Francyi: Paweł Doumer, prezydent franc. Izby deputowanych. (Treść na str. 3).

Zgon wicemarszałka bocheńskiego.

W sam dzień Nowego Roku Bochnia okryła się żałobą.

W pięćdziesiątym i pierwszym roku życia zmarł jeden z najwybitniejszych i wielce zasłużonych obywateli tego miasteczka, adwokat dr Antoni Leonard Serafiński.

Urodzony w Bochni w r. 1853, śp. dr Antoni Serafiński po ukończeniu niższych szkół średnich w rodzinnem swem mieście, udał się na dalsze studya do Krakowa, gdzie zdawszy egzamin dojrzałości w gimnazyum św. Anny, zapisał się na fakultet prawniczy, a następnie poświęcił adwokaturze. Z patentem doktora i dyplomem adwokackim powrócił następnie do Bochni, aby tu współobywatelom służyć radą i pomocą. Nie szukał obcych bogów, ani szczęścia gdzieś za górami, lecz za obowiązek swój uważał pracę w rodzinnem gnieździe i pracy tej, zwłaszcza na niwie społecznej, oddał się z młodzieńczym zapałem.

Prawość charakteru, szczerość i otwartość cechowały na każdym kroku zmarłego, a współobywatele umieli ocenić te cnoty, bo przez dwadzieścia lat powierzali mu godność radnego miasta, a oprócz tego obdarzyli go mandatem wicemarszałka rady powiatowej bocheńskiej.

Na obu tych stanowiskach śp. Serafiński odznaczył się gorliwą pracą i uwzględnianiem wszystkich potrzeb ludności, jakie uznawał za słuszne i niezbędne.

Oprócz tego znalazł jednak i czas na pracę społeczną. Jego to starania powołały do życia katolickie stowarzyszenie robotników „Praca“; on to stworzył dla młodych rzemieślników i rękodzielników stowarzyszenie „Ojczyzna“, gdzie młodzież rękodzielnicza mogła znaleźć zdrowy pokarm duchowy i miejsce do niewinnych zabaw towarzyskich.

Śp. Serafiński był także założycielem i prefektem sodalicyi maryańskiej w Bochni i niemało przyczynił się do rozwoju tego stowarzyszenia. Główną jednak jego zasługą było stworzenie „Towarzystwa św. Wincentego à Paulo“, gdzie ubodzy bocheńscy zawsze otrzymywali pomoc materyalną.

Pogrzeb zmarłego, w którym obok honoratiorów miasta i powiatu, cała prawie Bochnia wzięła udział, postępując za trumną eksportowaną przez wszystkich niemal księży miejscowych, był najlepszym dowodem, jaką sympatyą i jakiem uznaniem cieszył się śp. doktor Serafiński wśród rodzinnego miasta i powiatu.



Fot. Gargul Bochnia.

Zgon wicemarszałka bocheńskiego: Ś. p. adwokat dr. Antoni Leonard Serafiński.

Cesarz Wilhelm rozdaje ordery!

Cesarz Wilhelm, wierny swojej zasadzie wygłoszonej podczas jednej z uczt, że „nic ważnego w świecie bez udziału Niemców dziać się nie powinno“ — przypomniał sobie po niewczasie, że stała się jednak dość ważna rzecz: zdobycie Portu Artura, a stała się bez najmniejszego udziału ze strony uświęconej osoby niemieckiego władcy. Na wieść o kapitulacyi twierdzy i wymarszu wojsk rosyjskich — pospieszył Wilhelm z uznaniem swojem w postaci wysokich orderów.

By jednak wilk był syty i owca cała, to znaczy, by się Japonii nie narazić i z Rosyą wyjść dobrze — obdarzył cesarz niemiecki tą samą wysoką honorową odznaką — zarówno zwyciężonego wodza rosyjskiego Stoessla jak i zwycięzcę jego Japończyka generała Noghi. Jest to jeden z najbardziej komicznych epizodów portarturskiej tragikomedyi.

Nadany wrogim jenerałom order „Pour la mérite“ należy do najwyższych i najrzadszych odznak wojskowych w hierarchii orderów pruskich. Posiada go zaledwie kilku członków panującego domu rosyjskiego, z jenerałów zaś jenerał Paweł Szuwałow, który otrzymał go po wojnie rosyjsko-tureckiej. Ozdabia nim pierś również i król rumuński Karol.

Order sam, jako taki, jest odznaczeniem wysokiem. Doniosłość tej dekoracyi osłabia jednakowoż fakt, z czyich rąk go odbierają dekorowani — a zakrawa także na ironię ta okoliczność, że obydwaj adwersarze równocześnie go otrzymali.

Cesarz Wilhelm nie liczył się jednak z czem innem, jak tylko z małym efekcikiem: wystąpił jako nagradzający zasługi wojskowe obcych żołnierzy, a sztuczką tą zyskał jednodniowe wzmianki w prasie.

Order, o którym mowa, przedstawia się jako złoty niebiesko emaliowany krzyż ozdobny. Cztery jego ramiona połączone są złotymi jednogłowymi orłami nieemaliowanymi. Całość zatem: cztery ramiona krzyża i umieszczone między nimi orły — tworzy coś w rodzaju gwiazdy. Order ten nosi się na wstędze czarnej, obramowanej u obydwóch stron wązkim białym szlaczkiem.



Cesarz Wilhelm rozdaje ordery: Order Pour le merite, nadany przez cesarza niemieckiego generałom Stoesslowi i Noghi'emu.

Potwór w ludzkiej postaci.

Zdarzają się pomiędzy ludźmi osobniki tak zwyrodniałe i wynaturzone, że zaiste trudno w ich czynach dopatrzeć się nawet czegoś człowieczego. Dzikie zwierzę, drzemiące na dnie duszy — brutalna bestyalska natura, bierze bardzo często górę nad lepszymi instynktami — i oto geneza powstawania zbrodniarzy. Prawdą jest, że i inne czynniki współdziałają nieraz równolegle w podobnych wypadkach. Wchodzi tu w grę i dziedziczne obciążenie — zaniedbanie moralne, wpływ złego towarzystwa itp. Jakiekolwiekbądź jednak przyczyny stwarzają owe wykolejone jednostki — fakt pozostaje faktem, że zbrodniarz to najstraszniejszy okaz w ludzkiej menażeryi.

Prawo ściga i karze zbrodnie i jako ostatni najwyższy i najsurowszy wymiar kary i zadosyćuczynienia – rozciąga karę śmierci nad głową szkodliwego osobnika. Kara śmierci, aczkolwiek jest rzeczą straszną i przerażającą, aczkolwiek ustawodawstwa wszystkie dążą do jej zniesienia – z tem wszystkiem jednak jest kara śmierci niejako złem nieuniknionem, smutną koniecznością, zwłaszcza zaś w państwach, nieposiadających zamorskich deportacyjnych kolonii.

Jednym z niepospolitych zbrodniarzy, skazanym w Jaśle dnia 7 grudnia r. z. na karę śmierci przez powieszenie — jest niejaki Jakób Białoń z Krygu w powiecie gorlickim.

Czyny i życie tego człowieka robią istotnie wrażenie ciekawego epizodu z kryminalnego romansu. Białoń ożenił się przed 30 z górą laty z młodziutką piętnastoletnią dziewczyną Weroniką Woźniak. On zamożny gospodarz gruntowy, ona również niemboga, a przytem młoda i urodziwa — zdawało się więc, że stadło będzie szczęśliwem. I istotnie tak było — z początku. Kto wie, możeby Białoń został uczciwym i porządnym człowiekiem i nigdy z sądami do czynienia nie miał, gdyby nie haniebny nałóg pijaństwa, któremu z coraz większem oddaniem się począł młody małżonek hołdować. Przepił swoje mienie — przepił i własność żony. Młode małżeństwo znalazło się nad brzegiem przepaści, tem więcej, że Białoń nie chciał słuchać rad i perswazyj ani księdza proboszcza, ani próśb własnej nieszczęśliwej żony. Zapamiętały pijak, tyranizował i bił do tego stopnia biedną kobietę, że ta aż musiała uciekać się pod opiekę sądów. To jeszcze więcej jątrzyło i rozdrażniało zezwierzęconego człowieka. Pewnego razu, gdy żona spała, chciał jej podstępnie wykłuć oczy — by biedaczka nie mogła w przyszłości znaleść drogi do sądu. Cudem tylko uniknęła strasznego losu. Wreszcie Białoń

opuścił swą żonę i za sprzedane resztki mienia – puścił się za morze – do Ameryki. Nieszczęsna ofiara odetchnęła; sądziła bowiem, że raz na zawsze pozbyła się swego tyrana i kata. Niestety! Białoń wrócił w niedługi czas z za morza i zamieszkał przy żonie. I znowu rozpoczęły się dawne cierpienia męczennicy. Stosunki nawet pogorszyły się znacznie, gdyż Białoń, zakosztowawszy Ameryki — myślał tylko, jakby się można raz na zawsze żony pozbyć i drapnąć wolny i swobodny za morze.

Wreszcie zbrodnicze zamiary dojrzały w umyśle zwyrodniałego człowieka. Dnia 23 października zwabił żonę do swojego domostwa i zamordował ją, wierną od lat 30 towarzyszkę życia swego i matkę jego 10-ciorga żyjących dzieci!

Na odbytej w Jaśle rozprawie przed trybunałem sądu przysięgłych, został Białoń 11 głosami uznany za winnego zbrodni morderstwa. Rozprawie przewodniczył radca sądu Namysłowski, który ogłosił podsądnemu wyrok, skazujący go na karę śmierci przez powieszenie. Obrońca skazanego zgłosił od wyroku odwołanie do Najwyższego Trybunału. Przez cały czas rozprawy zachowywał się zbrodniarz obojętnie i apatycznie, nie zdradzał najmniejszego żalu ni skruchy, a wyrok przyjął spokojnie.

Korespondent nasz uzyskał od władz pozwolenie na zdjęcie fotograficzne skazańca i nazajutrz odfotografował go na podwórzu więziennem.

Charakterystyczne i niezmiernie ciekawe było wtedy zachowanie się Białonia. Gdy wyprowadzony z celi na podwórze ujrzał przed sobą aparat fotograficzny — zaczął drżeć na całem ciele, zbladł



Potwór w ludzkiem ciele: Jakób Białoń, morderca własnej żony, matki żyjących dziesięciorga dzieci.

jak ściana i bełkotał coś niezrozumiale. Otóż pokazało się, że bierze on aparat za jakieś narzędzie kary śmierci. Żadne perswazye nie pomogły. Chłop kiwał głową ponuro i mówił patrząc z podełba na aparat: „Jo wiem, że to hamerykańska skrzynia, co lekstryką dusi". W chwili tej bał się śmierci, drżał i błagał o życie. Przykry i straszny był to widok. Taka chwila niepewności — to straszniejsza dla skazanego, niż sam akt wykonania wyroku!...

Nowomianowany zastępca dyr. kolei państw. w Krakowie.



Nowo mianowany zastępca dyrektora kolei państw. w Krakowie: Dr. Leon Solecki, mianowany zast. dyrektora

W tych dniach opuszcza gród Rewery inspektor kolejowy i naczelnik oddziału dla spraw prawniczych i administracyjnych p. Leon Solecki, przeniesiony w charakterze zastępcy dyrektora kolei dla spraw administracyjnych w Krakowie.

P. Solecki cieszył się sympatyą i ogólnem poważaniem nietylko w kołach urzędniczych ale i w bardzo szerokich warstwach mieszkańców całego miasta.

Złożyły się na to nadzwyczajna zacność charakteru i niezwykła uprzejmość w traktowaniu mającej styczność z urzędem kolejowym publiczności.

Na stanowisku swojem potrafił godzić szczęśliwie energię, sprężystość i skrupulatność, z ujmującą swobodą, uprzejmością, życzliwością i przyjaznem obejściem, które to zjednywały mu wszystkich funkcyonaryuszów kolejowych.

Urodzony w r. 1852 w Tyczynie, ukończył szkoły średnie w gimnazyum w Rzeszowie ze stopniem celującym. Studya Uniwersyteckie odbywał we Wiedniu.

W r. 1874 wstąpił do generalnej dyrekcyi kolei Karola Ludwika we Wiedniu i pracował tam przez 7 lat w biurze prawniczem.

W r. 1881 został przeniesiony do biura prawniczego dyrekcyi ruchu kolei Karola Ludwika do Lwowa, gdzie przeprowadził wykupno gruntów II toru kolei Karola Ludwika.

W r. 1891 został przeniesiony po upaństwowieniu kolei Karola Ludwika do sekretaryatu c. k. dyrekcyi kolei państwowej w Krakowie jako zastępca naczelnika sekretaryatu, a w kwietniu roku 1898 do Stanisławowa w charakterze naczelnika oddziału prawniczo-administracyjnego, gdzie też dnia 1 stycznia 1900 zamianowany został inspektorem kolejowym.

Po ustąpieniu zast. dyrektora Dra Seinfelda w marcu r. 1901, powierzono mu agendy administracyjnego zast. dyrektora.

W roku 1901 ozdobiony został krzyżem kawalerskim orderu Franciszka Józefa.

Tajemnicza śmierć młodego oficera.

Znów jedna karta żałobna w naszej kronice wypadków, znów mamy do zanotowania tajemniczy zgon, tragiczną śmierć jednego z najmłodszych oficerów przemyskiej załogi Eiselta, porucznika X. pułku piechoty.

Młody, ogólnie lubiany przez kolegów i podwładnych, porucznik Eiselt dnia 9. b. m. w południe kazał swojemu forysicowi dobrze napalić węglem w swem pomieszkaniu. Żołnierz rozkaz spełnił, ale napróżno oczekiwał porucznika. Gdy zbliżała się godzina capstrzyku, dorzucił jeszcze węgli do pieca, drzwi pomieszkania zamknął, klucz zostawił w umówionem miejscu, a sam pospieszył do koszar, aby przy wieczornym apelu stanąć do szeregu.

Na drugi dzień wczesnym rankiem forysic, jak zwykle pospieszył do pomieszkania porucznika, aby oczyścić mu ubranie i posprzątać w pokoju, ale zastał drzwi zamknięte. Gdy mimo silnego pukania nikt mu nie otworzył i gdy klucza w zwykłem miejscu nie znalazł, powrócił do koszar w tem przekonaniu, że porucznik wstał wcześniej i poszedł na śniadanie.

Tymczasem w koszarach rozpoczęły się ćwiczenia, a porucznik Eiselt nie jawił się przy nich wcale. Dowódca kompanii spytał forysica o niego, a gdy ten opowiedział mu, co się stało, kapitan, jakby tknięty jakiemś złem przeczuciem, posłał do pomieszkania porucznika, służbowego podoficera z tem poleceniem, aby w razie, gdyby mu nie otworzono, zawołał ślusarza i bądź co bądź skonstatował, co właściwie dzieje się z młodym oficerem.

Podoficer rozkaz wykonał. Gdy mimo pukania, w pokoju porucznika nikt nie dawał nawet znaku życia, wezwał ślusarza, który wytrychem otworzył drzwi do pomieszkania.

Silny swąd w pokoju zwrócił przedewszystkiem uwagę podoficera. Gdy zaś rzucił okiem na łóżko stojące w kącie pokoju, zobaczył, że porucznik Eiselt leży w niem jak martwy, bez czucia.

Podoficer szybko otworzył okna i wezwał pomocy lekarskiej. Gdy przybył lekarz, ciało młodego oficera było jeszcze całkiem ciepłe. Mimo to wszelkie wysiłki, aby go przywrócić do życia, były bezskuteczne; nie pomogło nawet sztuczne oddechanie! Ciało porucznika stygło powoli coraz bardziej, aż w końcu musiano przewieść do szpitala nie chorego, lecz jego martwe zwłoki...



Fot. M. Todt. Przemyśl.

Tajemnicza śmierć młodego oficera: Zmarły skutkiem zaczadzenia Gustaw Eiselt, porucznik 10 p. p. w Przemyślu.



Fot. M. Münz. Lwów.

Szkoła kadecka we Lwowie: Front gmachu szkoły kadeckiej dla piechoty, przy drodze Wuleckiej.

Szkoła kadecka we Lwowie.

Podczas gdy Galicya zachodnia dawno już miała szkołę kadecką dla piechoty w Łobzowie pod Krakowem, gdzie mogła się kształcić młodzież nasza, poświęcająca się zawodowi wojskowemu — Galicya wschodnia mimo ustawicznych próśb posłów do Rady państwa i mimo obietnic ministrów długo się jej doczekać nie mogła.

Młodzież ze wschodniej Galicyi musiała wędrować do Koszyc i Pragi, ogółem po za granicami kraju szukać fachowego wykształcenia, skąd wracała obca dla swoich, nie pojmująca często obywatelskich obowiązków wobec rodzinnej swojej ziemi.

Aż wreszcie obietnice rządu przybrały realną postać. We Lwowie, na wzgórzu równoległem do placu powystawowego, przy wąskiej dróżce prowadzącej na Wulkę, za miastem, prawie że na pustkowiu, zaroiły się setki robotników, zawrzało gorączkowe życie i w roku 1899 wystrzelił pod niebo ogromny trzypiętrowy gmach, nad którego bramą zawisł dwugłowy orzeł, okolony wstęgą z napisem: „Szkoła kadecka dla piechoty“.

Olbrzymi gmach, którego front liczy czterdzieści sześć okien, wzniesiony na dużem płaskowzgórzu, dominującem po nad całem miastem, z wszechstron widny jest jak na dłoni, a białe jego mury zdala już zwracają na się uwagę wszystkich zdążających do Lwowa, czy to drogą kołową, czy też koleją.

— „O! ta widać już kadety“! — pocieszają się okoliczni włościanie, zdążający na targ, w swej pieszej wędrówce, czy to podczas mrozu i śnieżnej zadymki, czy podczas deszczów jesiennych, czy w czas letnich upałów.

Okolica, w której wzniesiono gmach szkoły kadeckiej, należy nie tylko do najzdrowszej, ale i do najpiękniejszej części miasta. Przecież opodal od szkoły wśród malowniczych debr i wąwozów, rozsiadł się uroczy Park Jana Kilińskiego, największa ozdoba Lwowa, a zaraz naprzeciw po drugiej stronie tak zwanego stryjskiego gościńca, wśród zczerniałych od starości murów, bielą się marmury pomników, na zamkniętym już dawno stryjskim cmentarzu. Wąską dróżkę wulecką przerobiono na wspaniały murowany gościniec, a w ślad zatem podmuch cywilizacyi wionął ponad tem pustkowiem, które długi czas było przytułkiem dla bezdomnych włóczęgów i wykolejonych indywiduów, kryjących się przed argusowem okiem policyi.

Rząd wznosząc tę szkołę niespodziewał się nawet, aby Galicya mogła jej dostarczyć tylu frekwentantów, na ilu gmach obliczono. Tymczasem zaraz w pierwszym roku szkoła zyskała zupełnie odpowiednią liczbę wychowanków.

Lwów zaroił się od młodzieży w wojskowych mundurkach kadetów, a przechodnie co dnia widzą teraz oddziały tej młodzieży, dziarsko maszerujące przy odgłosie trąbki przez miasto, na plac ćwiczeń za Zamarstynowem, lub na strzelnicę kleparowską.

Wnętrze szkoły urządzone jest nader starannie i z uwzględnieniem wszystkich wymogów hygieny. Sale naukowe jasne i widne, sypialnie przestrone, zaopatrzone w najnowsze przyrządy wentylacyjne, zapewniają elewom tego zakładu rozwój zdrowia i sił fizycznych tem bardziej, że pedagodzy-oficerowie przywiązują ogromną wagę do wychowania powierzonej sobie młodzieży w tym właśnie kierunku, a rozporządzają potrzebnymi do tego środkami.

Ogromna sala gimnastyczna z wszystkiemi przyrządami, oraz sala fechtunkowa, gdzie dzień w dzień przyszli oficerowie ćwiczą się we władaniu pałaszem, są głównym terenem, na którym odbywa się fizyczne wykształcenie młodzieży. Po za tem, ćwiczenia wojskowe na powietrzu niemało przyczyniają się do zahartowania jej sił i zdrowia.

Wzorowa czystość i porządek, które cechują sale naukowe i sypialnie, ogółem gmach cały, najlepiej uwidaczniają się w olbrzymiej jadalni, gdzie elewi wraz ze służbowym oficerem zasiadają do codziennego posiłku. Lśniąca jak szkło podłoga, śnieżnej białości obrusy i serwety, co dnia zmieniane dowodzą tego najlepiej.

Taką samą czystość taki sam porządek widzimy i w czytelni elewów i w szpitaliku który przeznaczony tylko dla użytku wychowanków, mieści się również w gmachu szkolnym.

Po za tem gmach obejmuje jeszcze prywatne pomieszkania dla komendanta szkoły i nauczycieli-oficerów, tych naturalnie, których obowiązek służbowy zmusza do mieszkania w obrębie zakładu.



Fot. M. Münz. Lwów.

Szkoła kadecka we Lwowie: Elewi szkoły w sali fechtunkowej podczas lekcyi.



Fot. M. Münz. Lwów.

Szkoła kadecka we Lwowie: Sala jadalna w gmachu szkolnym, z zastawą obiadową.

Otoczone wysokim murem gmach szkolny i plac ćwiczeń stanowią niby małe osobne miasteczko, silnie jednak zaprzyjaźnione z cywilnym Lwowem, który młodocianych mieszkańców tej sadyby chętnie wita i gości w swych murach.

Uroczystość Jordanu we Lwowie.

Kościół grecko-katolicki, rok w rok obchodzi na dniu Trzech Króli starego stylu, uroczystość „Jordanu“, święcąc w ten sposób pamięć swej wielkiej chwili, w której święty Jan Chrzciciel wodą z rzeki Jordanu zmył głowę Zbawiciela Pana, a z obłoków niebieskich rozległ się potężny głos: „Oto jest syn mój najmilszy, którego sobie upodobałem“.

Tego dnia, gdzie tylko rozbrzmiewa język ruski, duchowieństwo grecko-katolickie po odprawieniu modłów w cerkwi, otoczone najwyższymi dostojnikami danej miejscowości, spieszy nad strumienie i studnie, wraz z tłumem wiernych i tam poświęciwszy wśród przepisanych modłów wodę, kropi nią zebranych, błogosławiąc ich w imię Odkupiciela. Lud wodzie takiej przypisuje cudowne własności i czerpie ją do naczyń i przechowuje jako zadatek szczęścia i powodzenia przez rok cały w swych chatach, żegnając się nią w każdym wypadku i nieszczęściu...

Uroczystość tę wszędzie obchodzą z prawdziwie wschodnim przepychem, ze śpiewami, z szelestem sztandarów i hukiem moździerzy. Nigdzie jednak święto owo nie wypada tak wspaniale, jak we Lwowie, gdzie jest stolica metropolity ruskiego. Teraz zwłaszcza, gdy na tronie arcybiskupstwa grecko-katolickiego, zasiadł ksiądz metropolita Andrzej hrabia Szeptycki, przykładający wielką wagę do takich wzniosłych obchodów, uroczystość ta zyskała jeszcze na blasku i świetności.

Po sumie w archikatedralnej cerkwi świętego Jura, po modłach w starożytnej cerkwi wołoskiej, wśród dźwięków pobożnych pieśni alumnów semiryum duchownego ruskiego, ogromnym wężem zdąża na Rynek procesya, w której bierze udział cały kler grecko-katolicki z księdzem metropolitą na czele, oraz wszyscy najwyżsi dygnitarze państwowi, krajowi i wojskowi. Tłumy ludu zbitą masą, z gorejącemi świecami w dłoniach, z przodu, z tyłu i z boków, otaczają ten korowód krzyżów i ikonów, dźwiganych przez bractwa cerkiewne.



Fot. M. Münz. Lwów.

Uroczystość Jordanu we Lwowie: Procesya z arcybiskupem ks. metropolitą Szeptyckim i dygnitarzami kościelnymi, zdążająca z cerkwi wołoskiej na Rynek.

Powoli procesya wysuwa się na Rynek, pomiędzy dwoma szpalerami wojska, pełniącego służbę straży honorowej i zdąża przed jedną ze studzien, zdobiących wszystkie cztery narożniki placu, otaczającego gmach ratuszowy.

Szerokiem zwartem półkolem otaczają wierni studnię, przybraną odświętnie w zieleń choinek a ozdobioną ołtarzem, ponad którym błyszczy trójramienny krzyż grecko-katolicki. W asystencyi duchowieństwa, podchodzi ksiądz metropolita do ołtarza i nastaje chwila grobowej ciszy.

Przerywa ją nagle chór alumnów, wznosząc pod niebiosa potężną pieśń wesela, a po tej pieśni następują modły, śpiewanie ewangelii i w końcu ksiądz metropolita dokonuje konsekracyi wody. Salwy karabinowych strzałów, dane przez asystencyę wojskową, mieszają się z słowami błogosławieństwa, któremi darzy wiernych ksiądz metropolita, kropiąc równocześnie tłum poświęconą już wodą. Muzyka wojskowa gra hymn cesarski i uroczystość już skończona. Procesya rozpada się na części. Bractwa cerkiewne dążą z ikonami do swoich parafii, przerzedza się tłum na Rynku i zostają tylko ci, co chcą zaczerpnąć poświęcanej wody i unieść ją z sobą do domów. Przez chwilę cała studnia otoczona jest pierścieniem zbitych w jedną masę żywych ciał ludzkich. Ale nie trwa to długo. Po chwili na Rynku jest już zupełny spokój...

Oto obraz uroczystości „Jordanu“ we Lwowie tak, jak odbyła się ona przed paru dniami, a załączone illustracye pozwolą Czytelnikom wyrobić sobie pojęcie, jak ta uroczystość przedstawia się dla oka.

30-letni jubileusz pracy inżynierskiej.

Trzydzieści lat znojnej, ciężkiej a obfitej w owoce pracy!

Trzydzieści lat! Łatwo powiedzieć te słowa, ale przeżyć tych trzydzieści lat, pracować przez tak długi czas, spełniać swe obowiązki zawsze z jednakim zapałem, z tem samem przejęciem się jak za młodu, tak i na starość, to nie fraszka, ale prawdziwa zasługa, przed którą czoła uchylić należy.

W ostatnich dniach miasto Stryj obchodziło właśnie trzydziestoletni jubileusz ciężkiej zawodowej pracy inżynierskiej p. Władysława Postępskiego, który siły swe i wiedzę odddał na jego usługi.

Grono radnych miasta z burmistrzem Stojałowskim na czele, urzędnicy całego magistratu i znaczna liczba prywatnych osób — słowem wszyscy, którzy umieli pojąć zasługi jubilata, pospieszyli doń, aby oprócz wyrazów wdzięczności i należnego każdej zbożnej a uczciwej pracy hołdu, złożyć mu życzenia *ad multos annos!*

Po za tem jubilat trzydziestolecie swej pracy święcił cicho i skromnie w kole rodziny i bliższych przyjaciół.

Lecz rzućmy okiem na to trzydziestolecie: zawsze zapobiegliwy i energiczny, z chwilą, gdy objął urząd inżyniera miejskiego, całe swe siły poświęcił dobru miasta i regulacyi. Gdy zaś w roku 1886 straszliwy pożar Stryj cały obrócił w kupę zgliszcz i rumowiska, inżynier Postępski ze zdwojoną energią jął się pracy i dzięki temu miasto dźwignęło się,



Fot. M. Münz. Lwów.

Uroczystość Jordanu we Lwowie: Poświęcenie wody w studni na Rynku, przez ks. arcybiskupa metropolitę Szeptyckiego.



Fot. M. Todt. Przemyśl.

W obronie życia bliźniego: Korpus żandarmeryi przemyskiej, po bankiecie wraz z zaproszonymi gośćmi, między nimi zaś udekorowany plutonowy Syska.

jak Feniks z popiołów. Niezmordowany, niestrudzony, nie spoczywając prawie w swej mrówczej pracy, sam rzec można niemal pół miasta odbudował, a przytem znalazł czas na wygotowanie planów regulacyjnych, na przestrzeganie ich i wprowadzenie w życie.

Gdy miasto wreszcie powstało z ruin, zajął się uporządkowaniem ulic, placów i skwerów, a następnie urządzeniem dla zmarłych obywateli nowego wiecznego miejsca spoczynku, cmentarza.

To byłby krótki, pobieżny zarys trzydziestoletniej pracy jubilata, którego zasługi dla miasta Stryja są niespożyte.

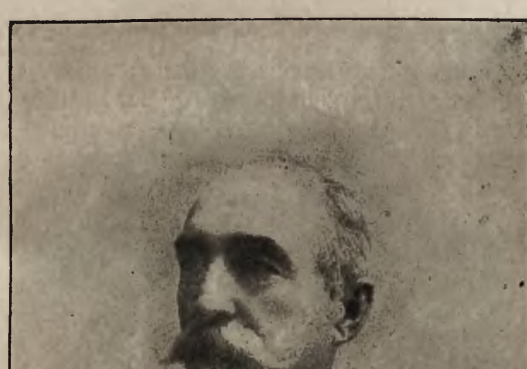
W obronie życia bliźniego.

Walka z żywiołem tak niebezpiecznym i groźnym, jakim jest ogień — wymaga wiele doświadczenia, odwagi i krwi zimnej. Dobrze zorganizowane i karne kadry straży pożarnej, czy to zawodowej, czy też ochotniczej — są jedyną, lecz częstokroć bardzo niedostateczną obroną przed rozszalałym żywiołem. Straż pożarna, choćby najliczniejsza i najlepiej wyszkolona — nie zawsze jest w stanie opanować klęskę. Z pomocą spieszy jej wtedy wojskowość i żandarmerya.

Żandarmerya jest błogosławieństwem na prowincyi. Pod jej czujną opieką śpi spokojnie obywatel, pewny życia i mienia swego. Wieśniak przebywa drogi i gościńce w tej błogiej świadomości, że żaden opryszek nie uczyni w drodze zamachu na jego mienie i życie. Kupiec w małem miasteczku bardziej polega na niezawodnej obronie żandarmeryi, niż na wszystkich ryglach, kłódkach i zamkach, strzegących dobytku i mienia jego.

Żandarmi pojedynczo lub parami przebiegają wsie i miasteczka, gościńce i ścieżki; wspinają się na strome góry i zagłębiają w przepastne lasy. Tropią oni występek i zbrodnię — zapewniając tem samem ład i spokój krajowi.

Jest to trudna, uciążliwa i męcząca służba, nie wspominamy zaś już o tem, że tak często połączona ona jest z groźnem niebezpieczeństwem życia. Nierzadkie są bowiem wypadki, że dzielny, niestrudzony żandarm w pościgu za opryszkiem — sam kładzie swe życie w ofierze na ołtarzu swego obowiązku i powołania. A jakąż dobrą a zasłu-



30-letni jubileusz pracy inżynierskiej: Jubilat Władysław Postępski, inżynier miasta Stryja.

żoną opinią cieszą się nasi poczciwi żandarmi przy wszystkich nieszczęściach i klęskach, biedny kraj nasz nawiedzających! Nie brak ich przy ogniu — nie brak przy powodzi — nie brak i..... przy wyborach!!...

Pięknego dowodu odwagi i lekceważenia niebezpieczeństw w obronie zagrożonego życia bliźniego — dali znów niedawno żandarmi przy groźnym pożarze, który wszczął się we wsi Tarnawie, w powiecie przemyskim.

Na wieść o wybuchłym pożarze, wysłał wachmistrz tamecznego posterunku p. Siostrzanek na miejsce wypadku żandarmów: Teodora Syskę i Ignacego Kazimirowicza.

Żandarmi przybyli na miejsce wypadku w tej chwili, kiedy właśnie ogarniał rozszalały płomień chatę gospodarza gruntowego Pilipera. Wiedziano dobrze, że w chacie tej było zamkniętych troje dzieci, których rodzice – jak zwykle chłopi – zajęci byli pracą w polu. Dowiedziawszy się o tem, Kazimirowicz i Cichy rzucają się obydwaj przez okna płonącej chałupy – do środka... Była chwila grozy i trwożnego oczekiwania. Płomienie syczą, suchy strop się wali – w tem — ukazują się obydwaj dzielni ludzie, a każdy z nich dźwiga na ręku — po jednem dziecku.

Niestety!.. w chacie powinno być jeszcze jedno maleństwo. Żandarmi upewniają, że pomimo pospiesznego acz dokładnego przeszukania – ani na ślad niemowlęcia natrafić nie mogli. Straszna to była chwila! Chata grozi lada moment runięciem – dookoła żar bijący od pożaru przystąpić nawet bliżej nie da — matka dziecięcia zawodzi na cały głos i błaga ludzi o pomoc. Lecz któż zechce swe życie ryzykować, skoro sam ojciec dziecka — nie odważa się skoczyć w płomienie, gdyż widzi, że niepodobieństwem, że cała chałupa stoi w płomieniach.

A jednak znalazł się człowiek, który bez względu na widoczne straszne niebezpieczeństwo rzucił się w żar ognia. Niestety! powrócił nie osiągnąwszy celu.

Wkrótce znowu podjął to zadanie, wyłamawszy poprzednio drzwi od chaty, gdyż okno było już całe ogniem zajęte. Tym razem pobłogosławił Bóg odwadze dzielnego człowieka. Wrócił z dzieckiem na ręku i złożył je nietknięte, choć nieco opalone na łonie stroskanej matki. Sam jednak z wysilenia i piekielnego gorąca zemdlał.

Człowiekiem tym był żandarm Syska. Odwaga Syski i dwóch jego kolegów nie pozostała bez nagrody.



Fot. M. Todt. Przemyśl.

W obronie życia bliźniego: Porucznik Zygmunt Ziemiański wręcza żandarmowi Sysce srebrny krzyż zasługi, zaś żandarmom Kazimirowiczowi i Cichemu listy pochwalne.

Dnia 11 bm. odbyło się solenne nabożeństwo w katedrze przemyskiej, poczem porucznik Zygmunt Ziemiański, w obecności różnych cywilnych i wojskowych dostojników i deputacyj — podniósł zasługę żandarmów w ratowaniu cudzego życia. Po skończonej uroczystej przemowie, przypiął na bohaterską pierś żandarma Syski — srebrny krzyż zasługi — dwom zaś jego kolegom, Kazimirowiczowi i Cichemu, wręczył listy pochwalne od przełożonej władzy. Po uroczystości odbył się wspólny bankiet.

Skromność Japończyków.

Skromność Japończyków zaprawdę jest godna podziwu!

Oto rok już dobiega, jak mały kraj Nipponu podniósł swój oręż do walki z mocarzem północy, z Rosyą, a my stojący zdala od terenu tych krwawych walk i zapasów, co okryły japońskie wojska sławą bohaterów — my, o których uszy obiło się tyle nazwisk rosyjskich generałów, pułkowników, majorów, ba nawet kapitanów, poruczników i chorążych, my, ileż znamy nazwisk japońskich wodzów?

Oyama, Kuroki, Oku, Nodzu, Fukischima i Noghi — ci przedstawiają dla nas lądową armię mikada. Togo i Kanimura są dla nas synonimami potężnej, zwycięskiej marynarki japońskiej. Terachontchi, Jamagata i Katsura reprezentują nam ministerstwo wojny i marynarki, a po za tem nie znamy wcale nazwisk innych bohaterów tej wojny po stronie Japonii.

Dopiero po zdobyciu Portu Artura dotarła do nas wieść, że dwaj synowie wodza oblężniczej armii jenerała Noghi straciło życie w szturmach do tej twierdzy. Dopiero gdy nad tą twierdzą zawisnął biały sztandar kapitulacyjny, usłyszeliśmy o jenerale I d i t c h i.

Gdy jenerał Stoessel uznał, że dalsza obrona powierzonej mu twierdzy jest bezskuteczną i gdy wysłał do jenerała Noghi list, w którym mu zaproponował kapitulacyę, wystąpił na widownię szef sztabu oblężniczej armii jenerał Iditchi.

Jego to baron Noghi mianował swoim zastępcą jemu powierzył sporządzenie warunków kapitulacyi,



Skromność Japończyków: Szef sztabu jeneralnego armii oblężniczej jenerała Noghi, jenerał Iditchi.

a jenerał wywiązał się z tego zadania bez żadnego zarzutu. Warunki, jakie przedstawił jenerałowi Stoeslowi, w niczem nie uchybiały honorowi wojskowemu załogi, a jednak mimo to stanowczem swem brzmieniem nie tylko umiały uniknąć jakiejkolwiek zasadzki, ale prócz tego warowały zdobywcom znaczne korzyści w każdym kierunku, a przedewszystkiem na punkcie zabezpieczenia materyału wojennego, nagromadzonego w twierdzy, który miał się stać łupem wojsk japońskich.

Rzecz dziwna! Dopiero gdy na akcie kapitulacyjnym jenerał Iditchi położył swój podpis, korespondenci zaczęli pisać o nim i śledzić przebieg jego karyery. Typowy syn „Nipponu" o pełnej wyrazu twarzy, po ukończeniu szkół wojskowych w Japonii, służył jakiś czas przy linii, a później dłuższy czas kształcił się w rzemiośle wojennem na europejskim gruncie.

Gdy wybuchła wojna, jemu powierzono godność szefa jeneralnego sztabu w armii oblężniczej i niebawem Iditchi stał się prawą ręką barona Noghi.

Gdy było potrzeba przykładu, opuszczał sztab i sam wśród gradu kul prowadził pułki do ataku temi przekopami, które według jego projektów skonstruowali japońscy inżynierowie i saperzy, a gdy jenerał Stoessel uczuł się już bezsilnym, dokończył zdobywczego dzieła aktem kapitulacyjnym, który chlubą okrył imię jego, jako autora...

Obecny jenerał Iditchi wraz całą armią oblężniczą i swym naczelnym wodzem baronem Noghi udaje się na plac boju w Mandżuryi. Wątpić nawet nie należy, że tam rową okryje się sławą, choć kto, czy echo jego czynów zaraz dotrze do Europy...

Japończycy są ogromnie skromni! Słyszeliśmy tyle o Sacharowie, szefie sztabu Kuropatkina, którego działalność ogranicza się do subtelnych telegramów, słyszeliśmy o Wirzenach, Reziensteinach i stu innych, których czyny, rangi i nazwiska nic nie mówią nikomu, a nie słyszeliśmy o Iditchi'm, nie słyszymy o innych bohaterach tych tytanicznych walk pod Portem Artura i na mandżurskich szlakach!..

Widocznie Japończycy trzymają się zasady; „Kto się poniża ten będzie wywyższon". To też armia ich nie jest „przesławna", ale, tylko ciągle zwycięska!..

Wiarołomna żona.

WSPÓŁCZESNY ROMANS KRYMINALNY.

17 (Ciąg dalszy).

Milczenie nastało w izbie, wszystkim dławiły się w gardle słowa, stary Tomasz zapalił fajeczkę, a kułakiem łzy wycierał; Tomaszowa jakoś nie, raźno sprzątała ze stołu, a Jakób po chwili wyszedł i nie pokazał się aż rano dnia następnego. A taki był blady, jakby krew z niego uciekła, a taki milczący, jakby się niemową narodził.

Pożegnała się Hania z Tomaszami, pobłogosławili ją po rodzicielsku na drogę i patrzyli za nią, jak szła z Jakóbem i zdala jeszcze znak krzyża świętego za nią wysłali.

W milczeniu siadł Jakób z Hanią do łodzi. Rozpiął żagiel, ujął wiosło, odbił od brzegu i puścił łódź na morze.

Już tylko niewyraźną smugą rozściełiło się za nimi wybrzeże wysepki, gdy Jakób odwrócił się od steru i rzekł do Hani ponuro i groźnie:

— Słuchaj kobieto! Ja żyć bez ciebie nie mogę, ale i ciebie żywej nie puszczę. Jeszcze czas. Powiedz mi, że będziesz moją, a ocalisz życie i moje i swoje.

— Jakóbie! Co tobie? Opamiętaj się.

— Już ja się opamiętałem. Przez całą noc gadałem ze sobą i z aniołami w niebie i z szatanami w piekle. Inaczej nie może być. Alboś moją żoną, albo śmierć mnie i tobie.

— Czy ty myślisz, że ja boję się śmierci? Dla mnie śmierć, to połączenie z tym, którego kocham, bez którego życie męczarnią. Zabij mnie, jeżeli ci miło być zbójem.

— Zabiję, ale jeszcze czas. Patrz, jak przetnę tę linę od żagla, to się łódź wywróci i pójdziemy oboje na dno, w ciemną otchłań morską. Powiedz, że będziesz moją...

— Nigdy!

— A więc giń. Wydarłem cię morzu, morzu cię oddaję.

Krzyknął wściekle, przeciął linę, wiatr skręcił żagiel, maszt się zwalił na głowę Jakóba, czółno się przechyliło, Jakób wpadł do wody, a Hania zemdlona, bezwiednie czepiła się osady masztu, a wzburzona fala morska uniosła ją z czółnem.

Właśnie nadpływał parowiec. Spostrzeżono czółno, odpięto łódź ratunkową, majtkowie w sam czas ocalili tonącą Hanię. Jakób utonął.

* * *

W najbliższem mieście, w którem statek się zatrzymał, wysiadła Hania, po raz drugi wydarta morzu, po raz drugi ocalona od śmierci, ale nie od nieszczęścia. Wrażenia, doznane na rybackiej wyspie, wspomnienie Jakóba i jego zaciekłości, przenikały ją uczuciem niesłychanie przykrem, zwłaszcza, gdy sobie wyobrażała ogromną rozpacz rodziców Jakóba, skoro się dowiedzą o śmierci jedynego dziecka.

Bez pieniędzy, w jednem tylko ubraniu, była teraz niemal żebraczką wśród obcych ludzi, w obcem mieście. Zmęczona boleścią, znękaną żalem za Ryszardem, osłabiona w najwyższym stopniu, chwiała się na nogach. Idąc w głąb miasta, wstąpiła do pierwszego po drodze kościoła i w gorącej modlitwie poruczała swą dolę Bogu. Co czynić?

Przedewszystkiem trzeba szukać dachu nad głową i jakiegoś sposobu do życia, więc wyszedłszy z kościoła, dowiadywała się o jakie biuro pracy. Wskazano jej kilka, ale w żadnym nie mogła znaleść właściwej dla siebie posady. Zgłodniała, niemal upadająca ze znużenia, po wielu prośbach zyskała sobie wreszcie obietnicę w jednem biurze, iż może coś dla niej znajdą.

Właśnie kiedy z biura już miała wychodzić, nie wiedząc gdzie noc przepędzić, wszedł jakiś lokaj i wręczył pismo właścicielowi biura. To hrabina Hassenstein żądała, aby jej natychmiast przysłać na wieś zręczną pokojówkę.

— Czy panna możesz przyjąć taką służbę? — zapytał właściciel biura.

Hani zakrwawiło się serce na myśl, że ona, córka zamożnej rodziny, przywykła do wygód życia, że ona, baronowa Adlersfeld ma być teraz pokojówką, aby nie zginąć z głodu. Czemuż nie utonęła z Ryszardem? Z największem wysileniem panowała nad sobą, żeby nie odsłonić przed obcymi, obojętnymi ludźmi, całego ogromu swojej niedoli. I Bóg dodał jej siły, bo ufała Bogu i o nim nie zapominała.

W dwie godziny potem była już w zamku Hassenstein, o trzy mile od miasta. Hrabina, pani pełna dumy i wyniosłości, przyjęła Hanię niechętnie i opryskliwie, gdy jej żadnych świadectw służbowych przedłożyć nie mogła. Przytem zachowanie się Hani, pełne godności, zrażało hrabinę przywykłą, aby służba z jaknajwiększą uniżonością wobec niej się zachowywała.

— Służba bez świadectw bywa zwykle podejrzaną, więc nie mogę sobie wytłomaczyć, jak mogli przysłać cię do mnie.

— Wspominałam już, że zaledwie tylko życie ocaliłam z rozbitego okrętu. Obowiązki będę spełniała jaknajsumienniej, a moje postępowanie zastąpi papiery, którymi się wykazać nie mogę.

— Przytem zdaje mi się, że nie masz właściwej tresury: Widzę, że nie umiesz okazać należytej uległości. Na razie, w braku innej, przyjmę cię do obowiązku. Od tej chwili będziesz pozostawała pod kierunkiem mojej panny służącej i ona cię obznajomi z tem, co do ciebie będzie należało.

I od tej chwili była Hania pokojówką. Biedna Hania. Owa panna służąca była to jedna z tych przewrotnych sług dworskich, co to nie przebierają w środkach, żeby zyskiwać sobie względy swoich państwa, choćby kłamstwem, choćby oszczerstwem, a przedewszystkiem bezwstydnie fałszywą uniżonością. Od pierwszego wejrzenia nie spodobała się jej Hania. Nie mogła znieść jej powagi, jej godności; czuła się wobec niej niższą, przeczuwała w Hani jakąś istotę doskonalszą, szlachetniejszą. Umiała zyskiwać sobie zaufanie u hrabiny, a zarazem względy hrabiego. Hrabia Hassenstein żył bardzo swobodnie w swoim zamku, nie lubiał krępować się niczem i bardzo był rad, gdy hrabina przyjmowała do służby piękne pokojówki. Upodobanie w nich zmieniał bardzo często, lecz teraz jakoś od pół roku obdarzał stałymi względami pannę służącą, z czego ona w całej pełni korzystała.

W kilka dni potem spotkał hrabia przypadkowo Hanię. Zdumiony jej niezwykłą pięknością, zatrzymał ją i zapytał:

— A cóż ty za jedna moja koteczko? przyczem pogłaskał ją po twarzy.

Hania zarumieniła się, cofnęła wstecz i odpowiedziała z powagą i godnością:

— Jestem od kilku dni w służbie pani hrabiny.

— Czemuż się usuwasz koteczko? Chciałem ci się tylko przypatrzyć. No, no, ładną masz buzię, ładną. Postaram się o to, żeby ci tu było dobrze. A jeżeli będziesz miała rozum, to ja ci dam niejeden prezencik i będziesz mogła złożyć sobie na posag.

Hania wytężała wszystkie siły, aby nie wybuchnąć oburzeniem i nie skarcić wyuzdanego zuchwalca. Zalała się łzami i odeszła prędko, nie odpowiedziawszy na zaczepki hrabiego. Hrabia spoglądał za nią i uśmiechał się lubieżnie.

— Jeszcze nie ugłaskana! nie wytresowana. Tem lepiej!

I poszedł, gwizdając aryjkę z operetki.

W jakiś czas potem, porządkując swoją izdebkę, znalazła w niej Hania stos dawnych gazet i zaczęła je przeglądać. Już kilka miesięcy upłynęło od chwili, gdy kraj opuściła, a przez ten czas nie miała sposobności dowiedzieć się niczego, co się w świecie dzieje, więc chciwie przepatrywała dzienniki, a zwłaszcza wszelkie wiadomości, pochodzące z ojczyzny. Nagle dziennik wypadł jej z ręki, krzyknęła boleśnie.

— Boże! Boże! zlituj się nademną i padła jakby nieżywa.

Była to gazeta urzędowa, w której podano wiadomość, że ojciec Hani powiesił się w więzieniu.

Więc już nikogo niema na ziemi! Sieroctwo straszne! I pocóż żyć? Czy na to by wiecznie nosić żałobę po Ryszardzie, czy na to, by łzawić się sieroctwem bez ojca, bez matki? czy na to, żeby się narażać na zniewagi i upokorzenia? A jednak! jednak żyć trzeba, bo taka wola Boża.

Owa panna służąca spostrzegła, że hrabia ogniście na Hanię spogląda, a na nią coraz mniej zwraca uwagi. Zazdrość zaczęła ją podniecać przeciw Hani coraz bardziej. Postanowiła pozbyć się rywalki i dlatego zaczęła wmawiać w hrabinę, że Hania jest niebezpieczna, że do hrabiego przewraca oczyma.

Pewnego razu, gdy Hania była w swojej izdebce, wszedł tam hrabia, ujął Hanię nagle, przyciągnął do siebie, pogłaskał po twarzy i pocałował. Hania wyrwała się i chciała uciec z izdebki, gdy wtem zjawiła się hrabina.

— Wypędzam cię natychmiast z mojego domu, rzekła hrabina rozgniewana. Łudziłaś wszystkich pozorną skromnością; widzę teraz, że jesteś bezwstydna. Zgłosisz się do marszałka, żeby ci wypłacił należytość i natychmiast pałac opuścisz.

Tego było już Hani za wiele. Zapomniała o swojej nędzy, o tem, że musi udawać biedną dziewczynę, szukającą służby i podniósłszy głowę dumnie, rzekła z godnością kobiety dystyngowanej:

— Zarzuty pani są tak niskie, tak bezmyślne, że mnie dosięgnąć nie mogą. Najwłaściwszą odpowiedzią byłoby milczenie, pełne ubolewania, że pani sama się łudzisz i łudzić się pozwolisz. Innej też odpowiedzi dać pani nie chcę.

Hrabina oniemiała z gniewu, że jakaś tam pokojówka ośmieliła się przemówić do niej w ten sposób.

Pieszo musiała Hania wracać do miasta, bo jej hrabina odwieść nie pozwoliła. Już uszła spory kawał drogi, może i milę, gdy uczuła zmęczenie i usiadła przy drodze. Zamyślona, niespokojna, złamana na duchu pod wpływem tylu nieszczęść, mając wciąż przed oczyma śmierć Ryszarda i ojca, popadła na chwilę w to upragnione odrętwienie, wśród którego spoczywa dusza, jak we śnie spoczywa ciało.

Bez takich odrętwień możeby dusza ludzka nie znosiła cierpień, nie wytrzymywała tych ciosów, które w nią uderzają. Więc też nie słyszała nic Hania w około siebie, nie dostrzegła, jak w pełnym galopie hrabia zatrzymał się przy niej i zeskoczył z konia.

— Żal mi cię moje dziecko, rzekł hrabia słodziutko. Ale ja ci to wszystko wynagrodzę, tylko musisz mieć rozum. Szkoda twej urody. Ja ci ją hojnie opłacę. Wynajmę ci w mieście śliczne mieszkanko, przyjmę dla ciebie służbę, otoczę cię dostatkiem, tylko mi się nie opieraj.

— Dość już tego, mój panie! Jesteś pan bezwstydny, że mając żonę, układasz sobie takie projekty; a jesteś niegodziwym, że chcesz korzystać z mojej niedoli. Żeby raz na zawsze uwolnić się od pańskiego natręctwa, oświadczam, że panem pogardzam.

Hrabia, widać przywykły do najrozmaitszych scen, nie zraził się tem wcale, bo już wysunął rękę, by Hanię ująć w pół i przyciągnąć ku sobie, gdy usłyszano turkot powozu i z daleka widać było nadjeżdżającą hrabinę. Hrabia na widok żony dosiadł konia i pospieszył ku niej, a Hania podążyła ku miastu.

* * *

W ciasnej izdebce na poddaszu siedzi Hania i szyje na pożyczanej maszynie. Możeby jej teraz własny ojciec nie poznał, taka zmieniona, smutna, wybladła. Kilka tygodni upłynęło jej o głodzie i chłodzie, zanim znalazła tu stałe zajęcie, po wygnaniu z zamku Hassenstein. Teraz zarabia tyle, że nie bywa głodna, że ma własną izdebkę, że mogła sobie sprawić nową sukienkę.

Na owem poddaszu mieściła się sama biedota. Z jednej strony Haninej izdebki mieszkała wdowa po kanceliście ze synem, który kończył uniwersyteckie nauki. Z drugiej strony mieszkał murarz z rodziną. Wdowa po kanceliście była to już kobieta niemłoda, sterana niedostatkiem, ciężką pracą i nieszczęściami, których się w życiu więcej najadła niż chleba. Hania odwiedzała sąsiadkę, a chociaż rozweselać jej nie mogła, bo sama była smutna i łzy nie wysychały jej z oczu, to przynajmniej miłem była dla niej towarzystwem, zwłaszcza, że syn zajęty nauką i pracą, cały dzień spędzał za domem.

Zdarzyło się raz, że wdowa zaniemogła ciężko i trzeba było wezwać pomocy lekarskiej. Lekarz zalecił przedewszystkiem spokój i odpoczynek i zapewnił, że one bardziej pomogą, niżeli apteka. Ba! jakże tu spoczywać, kiedy służącej nie ma czem opłacić, a trzeba jeść ugotować na dwoje i posprzątać izdebkę i wyprać bieliznę. Ciężko kłopotała się biedna wdowa tą myślą, co się teraz stanie Chciała jeszcze żyć nie tyle dla siebie, ile dla syna; chciałaby doczekać się chwili, w którejby go mogła zobaczyć szczęśliwym na wysokiem stanowisku. Więc nie dziw, że pragnęła posłuchać lekarza. Lecz jakże zostawić wszystko na los szczęścia? Któż ją zastąpi?

Widziała to Hania i odczuwała niepokój biednej wdowy; uspakajała ją i raz, kiedy wdowa zalała się łzami z tego niepokoju, rzekła do niej serdecznie:

— Niech się pani uspokoi. Bóg łaskaw. Nie tak to źle, jak się wydaje. Nie mam ojca, nie mam matki, więc biednej sierocie będzie mi się zdawało, że w pani matkę znalazłam i jak matce ci posłużę.

— Dobre dziecko, anielskie masz serce, ale jakże ty zdołasz o nas pamiętać, gdy sama na siebie tak ciężko pracujesz.

— Wszakże to nie takie trudne rzeczy. Dotychczas gotowałam dla siebie jednej, teraz będę

gotowała dla trojga. Wszakże to tasama robota. Na posprzątanie nie zabraknie czasu, a zresztą Pan Bóg nam wszystkim dopomoże.

Wdowa rozrzewniła się, przycisnęła główkę Hani do piersi, ucałowała ją i pobłogosławiła.

Hania dotrzymała przyrzeczenia. Bóg jej sił dodawał i nietylko wszystkiemu dała radę, ale nawet jeszcze więcej szyła na maszynie, jeszcze więcej zarabiała. Bo już tak jakoś Bóg zrządził, że na glebie poświęceń ludzkich wyrastają największe energie, najdzielniejsze siły ducha, a robota wszelka, w imię miłości bliźniego podjęta, wydaje plon stokrotny.

Upłynęło tak kilka tygodni, a wśród tego czasu wypadło Hani niekiedy spędzić noc bezsenną przy łóżku biednej wdowy, bo kilka razy ciężko zaniemogła.

Nie dziw, że wdowa pokochała Hanię macierzyńską miłością.

— Widzisz Jaśku, widzisz — mawiała do syna — jak to nas Bóg nie opuszcza. Własna córka nie byłaby lepszą. A ty nieraz tak źle mówisz o ludziach. Już to wy młodzi dzisiaj nie widzicie w świecie nic dobrego; wszystko wam się wydaje złe i nieszczęśliwe. O mój Boże! Inaczej nas uczono, gdyśmy byli młodzi, inaczej mawiał twój ojciec. Myśmy wiedzieli, że bywają nieszczęścia w życiu, aleśmy je umieli znosić, pocieszać się. Wiedzieliśmy też, że i szczęścia dość Pan Bóg rozsiewa po świecie i umieliśmy go używać poczciwie, gdy niem Bóg obdarzył. A wy co? Wyście podobni do człowieka, co sobie uroił, że na świecie tylko deszcz, tylko błoto, że zawsze pochmurno; że tylko wicher ziębi, a mróz szczypie. A nie chciał ów człowiek tego uznać, że przecież więcej bywa dni pogodnych, jasnych i ciepłych. To urojenia, a urojenie nie jest prawdą. Więdną wam dzisiaj dusze zawczasu i dlatego to tyle bywa zmarniałych żywiołów.

— Takie to czasy, moja mamo — odpowiedział Jan.

— Co też ty mówisz? a któż te czasy stworzył? czasy takie, jak je ludzie tworzą. Zawsze to samo słońce świeci nad nami, zawsze ten sam Bóg na niebie. Tylko dawniej ludzie byli inni. Jakby na twojego ojca było się zwaliło drzewo, toby je zdźwignął z siebie i poszedł dalej; na ciebie, jak listek upadnie, to już zawodzisz strasznie, że go otrząść z siebie musisz.

— Może być mamo, że tak jest, bom nie lepszy od innych i ten sam duch czasu urabia mnie, co i drugich, ale jest w mojem sercu miejsce na ową wiarę, że mogą być słoneczne dni w życiu, pogodne i także jasne, że nawet niabo w legendach ludu jaśniejszem być nie może. Wierzę dziś w to i dobrze mi, bardzo mi dobrze.

— Chwała Bogu mój synu. Cieszę się, boś mi naprawdę jakiś teraz inny, weselszy. To tak jakoś z tą Hanią zesłał nam Bóg pociechę i pokrzepienie.

Jan chciał coś powiedzieć, ale właśnie nadeszła Hania i zaczęła nakrywać stolik do obiadu. Jan spoglądał na nią, jak na obraz święty.

W sercu Jana powstała najpierw wdzięczność dla Hani, za opiekę nad matką; potem cześć głęboka dla jej cnoty, skromności; następnie podziw jej charakteru, bogactwa duszy i wielkiego wykształcenia, a wreszcie miłość potężna a poważna. Ale nie okazywał tego, nie mówił o tem. Mimo tego Hania się domyślała, bo czegóż nie domyśli się kobieta? Jana polubiła bardzo, uczuciem siostry, ale kochać go nie mogła, bo miłość dla Ryszarda nietylko nie rozcierała się w jej sercu, ale nawet wzmagała się w miarę tego, jak przybywało czasu od chwili, gdy go utraciła. I dlatego postanowiła usunąć się z poddasza, skoro tylko wdowa wyzdrowieje i szukać pracy w innem mieście. Toteż co dnia przeglądała pilnie ogłoszenia po dziennikach, aby też upatrzyć sobie coś takiego, czegoby się podjąć mogła.

Za wszelką cenę.

Gdy Łukasz wyrzucił za drzwi Ludwika, Rózia przybiegła do brata i czyniła mu dotkliwe wyrzuty.

— Przez twoje głupstwa mogę stracić służbę. Słyszałam wszystko, coś nagadał przed księciem. Z tego tylko nieszczęście być może dla ciebie i dla mnie. Gdyby książę ci uwierzył, to ona zemściłaby się na tobie i doniosła do sądu o sprawie Izabelli. Cóżby wtedy z tobą się stało?

— Ej, bredzisz. Cóżby się stać miało? zamknęli barona, a przez to, że uciekł, to mi tak sprawę poprawił, że mi jej nic nie popsuje. A gdyby sobie i dziesięć razy donosiła sądowi, to jej nikt nie uwierzy. To strachy na lachy.

— Ale pomyślno też i o mnie. Jabym takiej służby nie znalazła już nigdzie. Zresztą, jeżeli już chcesz coś zyskać od niej, toś powinien tak postępować, aby cię ona potrzebowała. I cóżeś zrobił? Jeżeli ją książę wypędzi, to cóż zyskasz? Ona ci nic dać nie będzie mogła, bo spuściznę po ciotce będzie musiała zatrzymać dla siebie.

— A czemuż mnie rozgniewała? Przemawiała do mnie, jakby była prawdziwą księżniczką. A mnie się to nie podoba, bo to przecież koleżanka.

— Dajże już spokój temu koleżeństwu. Boże! Boże! żeby to jako naprawić.

Przerwała się rozmowa, bo wpadł Łukasz z ostrzeżeniem, że książę kazał Ludwika ścigać, ująć i wziąć pod straż.

— Niechże panna Rózia ukryje brata, żeby go nawet mysie oko nie widziało, — rzekł Łukasz i wybiegł, bo książę już dosiadał konia i czekał na Łukasza.

Klara ocknęła się wkrótce. Nie chciała w to wierzyć, że książę odjedzie natychmiast; spodziewała się, że jeszcze wróci, że ją bodaj pożegna. Wtem usłyszała tentent konia. Roztwiera okno. To książę z Łukaszem galopuje ku lasowi.



Jakób wpadł do wody, a Hania zemdlona, uczepiła się osady masztu...

— Ferdynandzie! — krzyknęła z rozpaczą — Ferdynandzie!

Załamała ręce, to znowu szarpała na sobie suknię, to wryła się palcami we włosy i zdawało się jej, że rój wężów rozpiera się w jej piersi. Miotała nią złość wściekła i wstrząsał lęk straszny. A wyrzuty sumienia huczały jej nad głową, jak dzwon pogrzebowy. W dźwięku tego dzwonu słyszała jęk żałobny, tensam, co na pogrzebach. Ta chwila była dla niej pogrzebem jej szczęścia, jej marzeń, jej pychy. Toczą się koło niej czarne myśli, a jeszcze czarniejsze wspomnienia przeszłości.

Widzi umierające dziecko swoje i słyszy jego głos i pamięta jego słowa: „Książe wypędził księżniczkę z zamku“. Może ją istotnie wypędzi? Jakże szczęśliwą była jeszcze dziś rano! Była na szczycie najdumniejszych marzeń, a teraz wpadła w przepaść rozpaczy.

Jeżeli książe zapyta Buchenaua, jeśli mu uwierzy? Jakiż tryumf Wurma i hrabianki! Jaka wzgarda, jakie poniżenie ją czekają.

Nie, nie, to być nie może: musi się bronić, musi się ocalić. Ale jak? Ha! tensam Ludwik, który ją miał zgubić, może ją teraz nietylko ocalić ale nawet jeszcze wzmocnić jej stanowisko. Trzeba działać prędko. Trzeba Ludwika pozyskać za wszelką cenę, choćby nawet.... Taki wstrętny! Trzeba o tem zapomnieć. Pozyskać go musi za wszelką cenę.

Temi myślami podniecona, przebiegła Klara buduar, bliska szału. Powziąwszy plan zjednania sobie Ludwika, zadzwoniła. Wpadła Rózia.

— Gdzie twoj brat?

— Nie wiem... może...

— Ja go chcę zaraz widzieć. Jeżeli wyszedł, wyszlij za nim konnego.

— On się boi... Żałował bardzo tego, co uczynił.

— Jeszcze wszystko może naprawić, ale go muszę widzieć natychmiast.

— Ja się przyznam, że go zatrzymałam u siebie, żeby mu wyrzuty czynić za nierozsądne jego postępowanie. On żałuje, on zrobi wszystko, co jaśnie pani każe.

— Idź i przyprowadź go natychmiast.

Bywają często w życiu ludzkiem minuty dłuższe od godzin, a dla Klary wydała się ta krótka chwila, którą czekać musiała na Ludwika, niemal epoką życia. Czy go nakłoni do odwołania oskarżeń? Jakiego okupu Ludwik za to zażąda? A czy książe odwołaniu uwierzy? Możeteż Rózia już go nie zastanie? Może tymczasem odszedł? Przez krótką chwilę doznawała Klara tak wielkiego niepokoju, że nią owładnął zupełnie i uczuwać zaczęła lęk i bezsilność. To ją bardziej jeszcze przerażało, bo rozumiała dobrze, że w rozprawie z Ludwikiem nie może okazać lęku i słabości.

Na szczęście wszedł oczekiwany Ludwik, ale jeszcze zuchwalszy, niż przedtem, z szyderskim uśmiechem na ustach. Klara się pocieszała, że Ludwik przyjdzie skruszony, że naprawdę żałuje tego, co uczynił, jak Rózia zapewniała. Wyzywające zachowanie się Ludwika onieśmieliło Klarę tem bardziej.

— No, przyszedłem, jak pani widzisz — rzekł Ludwik, trzymając ręce w kieszeniach.

Klara zebrała wszystkie siły, żeby udać spokój, i z wyniosłością odpowiedziała:

— Kazałam cię zawołać mój kochany, bo twoja siostra zapewnia, że uznałeś swoją niegodziwość i żałujesz tego, coś uczynił.

— Że też to zawsze zachciewa ci się grać rolę, gdy rozmawiasz ze mną. Po co takie gadanie? Ja się nie boję niczego, ani nie żałuję, ale ty koleżaneczko boisz się i żałujesz. Boisz się żeby cię książę nie puścił w trąbę i dlatego żałujesz, żeś się pierwej ze mną nie ugodziła.

— Książe wcale nie wierzy temu wszystkiemu, coś powiedział.

— Jeżeli nie wierzy, to pocóżeś mnie wezwała.

— Dlatego, ażebyś już raz przestał o tem mówić i nie rozgadywał gdzieindziej.

— To rzecz niewielka, taką małą przysługę mogę koleżance wyświadczyć, jeżeli ugodzisz się ze mną poczciwie. Za to zobowiążesz się zapłacić mi połowę tego, co weźmiesz za dobra Adlersfeld.

— Szalony jesteś chyba. Wszakże to krociowy majątek!

— Moje milczenie warte milionów. bo jakbym nie milczał, tobyś w tym pałacyku nie siedziała.

— Prócz tego żądam jeszcze od ciebie, ażebyś wszystko odwołał, co księciu opowiedziałeś.

— Ho! ho! ho! Nie ma głupich. Tobym się dopiero wybrał. C. d. n.



Z wojny ros.-jap.: Rodziny rezerwistów rosyjskich pozostałe na stacyi w rozpaczy, po odjeździe pociągu, unoszącego ich ojców i mężów na plac boju.

Z wojny rosyjsko-japońskiej.

Kapitulacya. Dawno już nie mieliśmy tak sensacyjnego Nowego Roku. Tą sensacyą jest kapitulacya Portu Artura. I mniejby ta wiadomość dotykała Polaków, gdyby nie okoliczność, że właśnie przemocą wcieleni do państwa carów, odczuwamy dotkliwie na własnej skórze nieszczęśliwe losy tego państwa, rozwiązującego obecnie potężne zagadnienie polityczne na dalekim Wschodzie. Kapitulacya Portu jest też wydarzeniem, które przyniesie dziś jeszcze nieobliczalne skutki. Już od szeregu tygodni przynosiły depesze raz po raz wiadomości o zdobyciu przez Japończyków nowego fortu. Pierścień obronny, w jednem miejscu przerwany, rozpryskiwał się już szybko. Nastawała ostateczność — tak przynajmniej wydawało się wszystkim. którzy czytali o setkach i tysiącach ciał, zaścielających drogę do twierdzy. Długa, bo całoroczna prawie wojna morska zakończyła się niezwykle ważnym aktem. Zaczęło się przygotowanie do tego aktu bardzo wcześnie. Co prawda, gdyby nie nieprzewidziane okoliczności, byłby on wcześniej nastąpił. Taką nieprzewidzianą okolicznością była np. zdrada, jakiej dopuścił się oficer japoński. Znak to, że i pośród tych bohaterów z krainy wschodzącego słońca znajdują się łotrowskie natury, że i Japończycy nie są oczyszczeni z przywar i podłości czysto ludzkich. Ta zdrada odbyła się wtedy, gdy to Japończycy wysłali do twierdzy. okręt z amunicyą i wielkiemi armatami; które miały przyspieszyć dzieło oblężenia. Wówczas to oficer japoński uwiadomił o tem Rosyan, a ci zaczaiwszy się na ów okręt, wysadzili go w powietrze. Po pewnym czasie nadeszła do Tokio przesyłka pieniężna. Los jednak zrządził, iż chybiła swego przeznaczenia. Było mianowicie dwóch oficerów japońskich tego samego nazwiska. Przekaz doręczono pod fałszywym adresem. I rzecz się wydała. Oficerowie pułku, w którym służył ów oficer, zgromadzili się, a kiedy na widok przekazu zdrajca się zmieszał, rzucili się na niego, powalili na ziemię i skopali nogami na śmierć. Gdyby nie ta zdrada, mordercze oblężenie byłoby może o cały kwartał wcześniej przyszło do skutku. Zaczęło się odrazu gwałtownie i z powodzeniem. Było to w nocy 8 na 9 lutego zeszłego roku. Podstępnie wykonany atak japońskich torpedowców, uszkodził silnie w Porcie Artura trzy wielkie okręty: „Retwizana", „Palladę" i „Cezarewicza". Jeszcze w ciągu lutego. a następnie w marcu, nastąpiły ataki japońskich branderów, celem zamknięcia wjazdu do Portu. Japończycy dokonywali bohaterskich czynów. A pomyślny skutek uwieńczył ich bohaterskie wysiłki.

Na kwiecień przypada wielka strata Rosyan. Admirał Makarow. po którego zdolnościach obiecywano sobie bardzo wiele, objął dowództwo nad flotą w porcie. Lecz los tragiczny nie pozwolił mu nic uczynić. Okręt „Petropawłowsk", na którym admirał przedsięwziął wycieczkę, wyleciał w powietrze z całą załogą.

Na maj przypada świetne zwycięstwo pod Kinczu. Tamże wylądowała armia japońska pod jenerałem Nogi i nad Rosyanami pod Fockiem odniosła świetne zwycięstwo. Załoga rosyjska została wpędzona do Portu, a Nogi zajął Dalnyj. W końcu maja ogłosił admirał Togo blokadę Portu Artura, oraz rozpoczął regularne oblężenie. W czerwcu wysłał Kuropatkin silny korpus wojska pod jenerałem Stackelbergiem na odsiecz. Stackelberga pobił jednak jenerał Oku pod Wafankou. Tylko z trudem



Z wojny ros.-jap.: Japońscy robotnicy budują zimowe kwatery dla swojej armii w Mandżuryi.

uniknęli Rosyanie dostania się do niewoli całego korpusu.

W lipcu nie było ważniejszych wypadków.

W sierpniu odbyła się nowa wielka bitwa na morzu. Flota rosyjska pod Witheftem wymknęła się z Portu i spotkała się z flotą japońską. Admirał Witheft zginął na „Cezarewiczu“, rosyjskie okręty, mocno uszkodzone, schroniły się częściowo do portów neutralnych, a większą część zmuszono do powrotu do Portu Artura. Teraz nadeszła ciężka epoka wojny. Krok po kroku, fort po forcie nie szczędząc żywotów ludzkich, żelaza i złota — zdobywali Japończycy każdą grudę skalistą piekielnej fortecy. Koniec listopada był nowym laurem w tej twardej służbie ognia. Oto Wzgórze 203 m. dostało się w ręce Japończyków. Stąd ostrzeliwują i niszczą okręty rosyjskie w Porcie. Grudzień zakończył kanonadę. Padł Kikwanszan i Erlungszan, poczem Sungszuszan i Palungszan przeszły również w ręce Japończyków. Wówczas jenerał Stössel zaproponował kapitulacyę twierdzy. Dziś z wielu stron bohaterstwo jego podają w wątpliwość i wprost nazywają go bohaterem z operetki. Wpłynęła na to ta okoliczność, że w Porcie Artura znaleziono kilkadziesiąt tysięcy zdolnych do walki żołnierzy, zaś z samych oficerów można było wystawić cały pułk. Sąd wojenny zajmie się wkrótce ostatecznem rozstrzygnięciem całorocznej obrony jenerała Stössla.

Rycina nasza przedstawia chwilę, w której: ***Żołnierze japońscy wdrapują się na prostopadłe ściany skaliste Wzgórza 203 m.*** Zdobycie tego wzgórza było punktem zwrotnym w oblężeniu Portu. Na grzbiecie prostopadłej skały ulokowali się Rosyanie, zakryci przed strzałami oblegających. Pod skałą tłoczą się bezładnie Japończycy, usiłujący wdrapać się na skalistą, a prostopadle sterczącą ścianę pagórka.

Widok tych zapasów jest przejmujący grozą. Rosyanie nie tylko strzelają w dół, lecz na oblegających zarzucają pętle sznurowe, niby na psy. Widzimy cały szereg tych pętli, zarzucanych z góry na dół. Dowód to, do jakiego zdziczenia i upodlenia zeszło w tych zapasach rzemiosło wojenne. Rzeczywiście udaje się tu i ówdzie chwycić na pętlę Japończyka. Oto na tej improwizowanej windzie jedzie już jeden rozkrzyżowany Japończyk na górę. Nie dbając, jaka śmierć ich czeka, czy od powroza, czy od kuli, wdzierają się inni do góry. A z wierzchu prażą Rosyanie ogniem karabinowym. Robota oblegających ciężka i prawie zawsze próżna. Skała gładka jak szkło. Niema się czego uczepić, niema w co wbić pazurów, a z góry lecą kamienie i kule.

Na ogień odpowiadać nie można, bo czemże porwie za karabin, kiedy obie ręce zatrudnione. To też karabin próżnuje na plecach, a głowa i ciało na cel wystawione bezlitośnie.

Kto chodził po Tatrach i ścieżynach wśród skał, kto się spinał na szczyty i widział, jak są niebezpieczne kamienie z góry lecące, ten zrozumie i nie pozazdrości położenia Japończykom.

Kamień taki niejednego skaleczy, niejednego zabije, nabiera bowiem, w miarę spadania, siły i chyżości. Japończycy, jak sobie nigdy nic nie robili z niebezpieczeństw, tak i te kamienie, spadające im na głowy, nie zdają się ich przerażać, ani zniechęcać. Przeciwnie każda rana, każdy trup zdawały się dodawać im odwagi, rozgrzewać zapał i pobudzać wściekłość bojową. Czego nie zdołali wziąć szturmem, to wysadzali w powietrze — w końcu z[illegible]szali Rosyan do opuszczania fortów i do pozost[illegible]iania armat na pastwę zwycięzców.



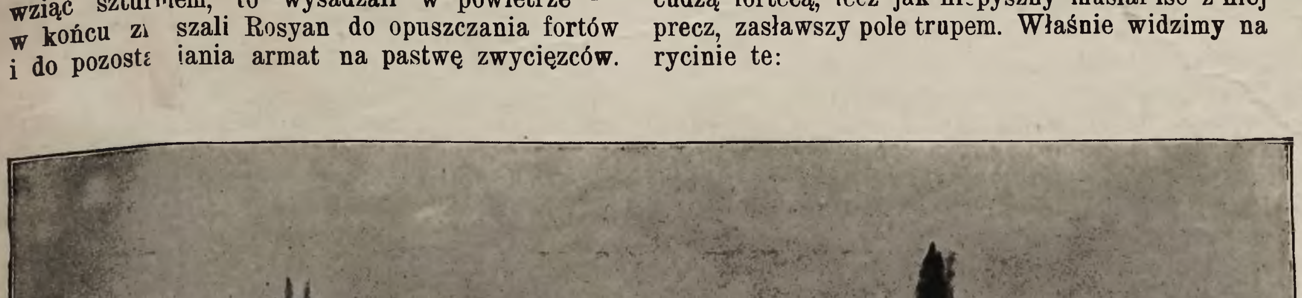
Z wojny ros.-jap.: Żołnierze japońscy wdrapują się na prostopadłe skaliste ściany Wzgórza 203 m.

Kończyło się na tem, że czego nie wysadzili w powietrze i nie zdobyli Japończycy — to padło ofiarą rosyjskiego dynamitu i min. Nie chcąc oddać nieprzyjacielowi nic, coby miało jakąkolwiek wartość, wysadzali Rosyanie własne forty i obwarowania w powietrze. Wysiłki te i te niszczące zabiegi zakończyły się zwycięstwem armii oblegającej i kapitulacyą Portu.

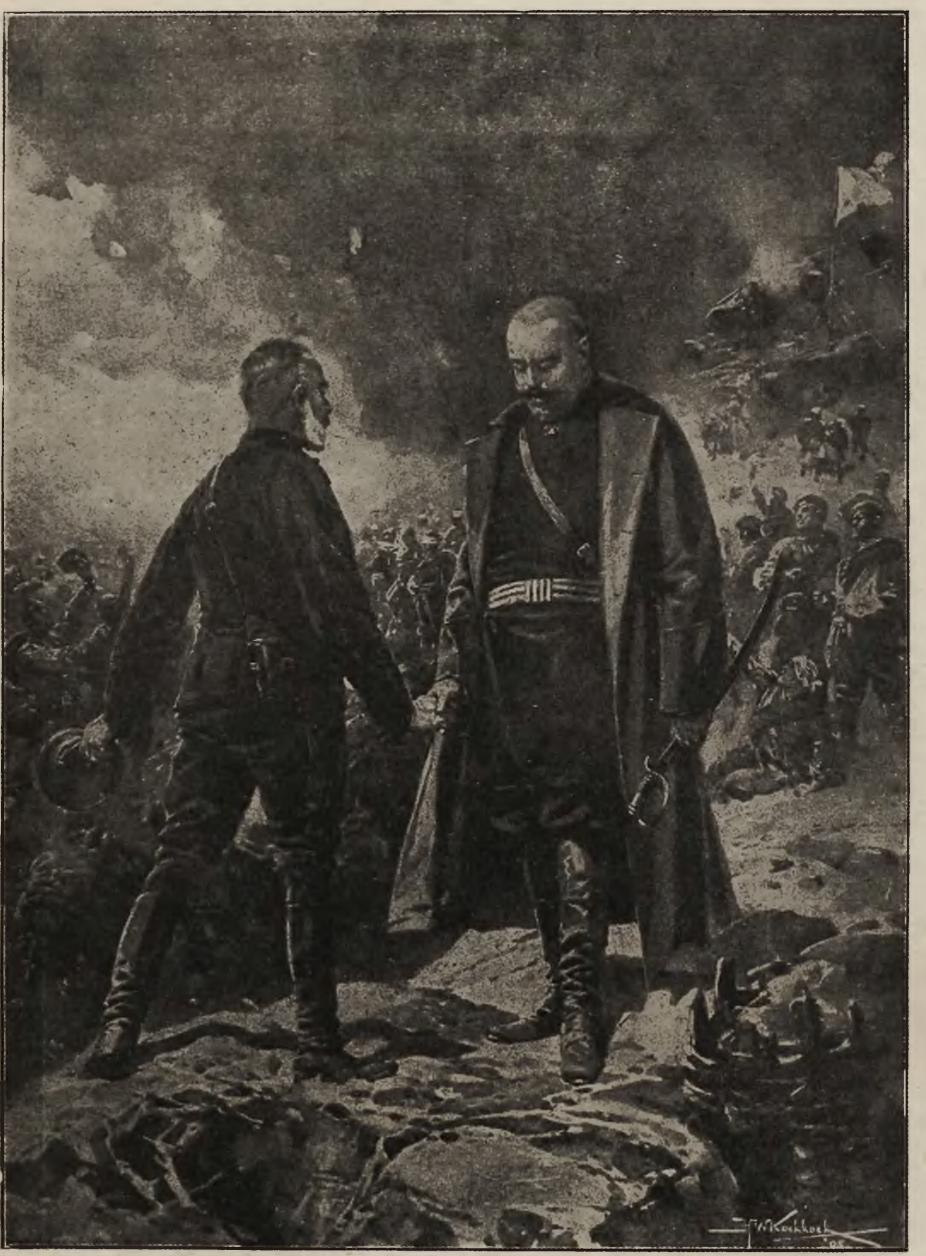
I tyle mają przynajmniej pociechy te wszystkie matki i wdowy i te sieroty, co zostały bez opiekunów i braci i ojców, których im wydarła wojna, że ciemięzca, że rząd bratobójczy nie zbogacił się cudzą fortecą, lecz jak niepyszny musiał iść z niej precz, zasławszy pole trupem. Właśnie widzimy na rycinie te:

Rodziny rezerwistów z gubernii warszawskiej pozostałe na stacyi w rozpaczy po odjeździe pociągu. Widzimy starych i ślepych dziadków, prowadzonych za rękę przez wnuki, którzy się tu przywlekli ostatkiem sił, by pożegnać może już na wieki swych najdroższych, krew swojej krwi i kość z kości. Zanoszą się od płaczu staruszki, których jedynym żywicielem był ten, gwałtem im zabrany żołnierz — cóż poczną same, stare i zniedołężniałe. Na służbę nikt ich nie weźmie, bo sił nie mają, nie zarobią, nie zapracują — jedynym ich celem i końcem śmierć. Ileż to razy śmierć głodowa ich czeka. Młode kobiety próżno wyciągają za odjeżdżającym pociągiem ramiona. Mąż drogi, ukochany, uwieziony precz, na śmierć. Jedyny obrońca sieroty. Kto jej teraz przyniesie obronę. Obronę przed złoczyńcą, obronę przed złośliwym sąsiadem, przed zbirem, przed policyantem i przed czynownikiem. Czegóż nie będzie musiała oddać za kawał chleba. Jak się upodlić, jak uniżyć, jak uledz! Trwożnie, w bezdennej rozpaczy padają na ziemię, jakby przeczuwały, że tam tylko spokój i cisza. A ta nowa branka, ta mobilizacya, to nowa rzeź, nowe nieszczęście narodowe polskie, nowy posiew łez i krwi. Niektóre z tych kobiet i dzieci, przybyłych na stacyę, nie mają już i łez — martwymi oczyma patrzą przed siebie, nie widząc świata i nie czując bólu. Zdaje się, że się nad nimi unoszą ponure wizye naszych wielkich malarzy i że szepcą do tych nieszczęśliwych słowami: Ludzkości, plemię Kaina! Tu córka z ojcem, tam z niemowlęciem matka, tam pięść zaciśnięta, tu bezradnie wyciągnięte do niebios ramiona.

Na wszystkich ustach jęki, we wszystkich oczach łzy — wszystkiemu winna wojna. Dziś, gdy w Porcie Artura zapanowała cisza, gdy już



Z wojny ros.-jap.: Wybuch min podwodnych przed Portem Artura.



Z wojny ros.-jap.: Jenerał Stoessel spotyka się w wiosce chińskiej Suiszi z jenerałem Nogim po kapitulacyi Portu Artura.

ustało długie oblężenie i krwawe szturmy, gdy się skończyła owa denerwująca kanonada, trwająca niekiedy od świtu do wieczora, a czasem i w ciszy nocnej nieprzerywana — dziś odetchnie spokojnie, niejedna matka i żo a i w dziękczynnej modlitwie wzniesie oczy ku niebu. Lista ofiar na razie zamknięta. Trwoga o życie najdroższych ustąpiła miejsca niepewności, kto zginął, kto żyje, kto w niewoli?

Wkrótce się tego dowiedzą. Kapitulacya już podpisana i wydawanie jeńców w Porcie Artura już się skończyło. 878 oficerów i urzędników, 23 tysiące żołnierzy dostało się do niewoli. Niektórzy powiększają znacznie te cyfry. Wszyscy ci jeńcy będą przewiezieni do Kure. Ciężko chorzy zostaną na razie w lazaretach Portu Artura. W tym Porcie, w którym niedawno grały bomby i granaty i dziś nie jest bezpiecznie. Tyfus i inne choroby epidemiczne kończą to dzieło, które zaczęła wojna. Twierdza już się buduje na nowo. Na zgliszczach grają orkiestry, a panie w powabnych toaletach zbierają wielbicieli na promenadzie. Ten akt wojenny, przypieczętowany kapitulacyą, należy już do historyi. Wre tylko praca budowniczych i robotników, by naprawić szkody, wyrządzone przez własne i rosyjskie armaty. Nadto, przezorni:

Japończycy wyławiają miny w okolicy Portu Artura, chcąc ją oczyścić z niebezpieczeństw i zapalają miny za pomocą połączeń elektrycznych. Jeśli się sprawdzi, że mikado zamierza w zdobytym porcie urządzić stacyę dla swoich okrętów, to te środki ostrożności są bardzo na miejscu. Nadto chodzi tutaj także o bezpieczny przejazd dla okrętów, należących do żeglugi międzynarodowej, którym miny wojenne mogłyby wyrządzić znaczne szkody.

Na ilustracyi wygląda takie zapalenie min bardzo niewinnie: widzimy, jak gdyby partyę z jakiegoś parku angielskiego, aleję magnolij i cyprysów. W rzeczywistości jednak takie wyławianie min odbywa się z tym samym piekielnym hałasem i z równą burzliwością, jak wtedy, kiedy sprawiają zamierzone spustoszenia. Drobne i bardzo oddalone pojęcie mogłyby może jeszcze dać owe fajerwerki wodne, jakie widujemy podczas spalania ogni sztucznych. Owe szmermele trzaskające, owe młynki piekielne i bomby.

Jenerał Stoessel spotyka się w wiosce chińskiej Suiszi z jenerałem Nogi po kapitulacyi. Jak wielkość i obwarowania Portu Artura przeważnie są nieznane, a czytelnicy nie mają o nich należytego pojęcia, tak też i kapitulacya jest iście zagadkową. Ilość więźniów a także i powody poddania się zgoła nie są ustalone.

Sprzyjający Rosyi, a uwielbiający przedtem Stoessla jako bohatera, byli zrazu wprost przerażeni wysokiemi cyframi, zawartemi w pierwszym raporcie jenerała Nogiego. Dzisiaj, widząc różnicę między raportami, przypuszczają omyłkę w cyfrach.

Inni twierdzą, że Stoessel raporty swoje układał z umysłu fałszywie. I same rokowania, dotyczące kapitulacyi, obudziły różne wątpliwości. Rokowania te odbyły się w nędznej lepiance chińskiej, jedynej, która pozostała jeszcze niezburzona z całej wioski Suiszi. Tę wioskę, po której przeszło tyle kul armatnich, którą rozrywało w kawałki tyle bomb, przedstawił artysta na naszej rycinie.

Eskorta wysłanników Stoessla składała się z kozaków. Z ich wyglądu wnosić było można, że się cieszą doskonałem zdrowiem, a także na ich koniach nie można się było dopatrzeć śladów niedostatku.

Siedmiu parlamentarzy rosyjskich przybyło w eleganckich mundurach galowych. Te mundury galowe nie podobały się niejednemu, kto o nich czytał. Zdawało się mianowicie surowym znawcom od zielonego stolika, że ten elegancki mundur galowy obala wszystkie bohaterstwa obrońców Portu. Mówią też korespondenci, że i miasto mało ucierpiało. Z ryciny naszej, przedstawiającej spotkanie się obu jenerałów, nie widać rzeczywiście na Stoesslu śladów tych wysiłków, o których pisano. Rosły, tęgi, dobrze odżywiony mężczyzna, ubrany w paradny uniform, trzyma w lewej ręce obnażoną szablę, a prawicę podaje jenerałowi Nogiemu.

Nogi szczupły, wychudły, z twarzą jak gdyby ogorzałą i oczernioną od trudów wojennych, zdaje się wyrażać całą postawą swój podziw dla Stoessla. Sam mikado gorąco pragnął poznać obrońcę twierdzy — ale znawcy od zielonego stolika nazywają Stoesla operetkowym jenerałem. Brak amunicyi, co przyznają same rosyjskie dzienniki, nic u nich nie znaczy. Kaprys i wiara na słowo wszystkich tych, którzy rozsiewają dziecinne bajki, wszystko u nich znaczą.

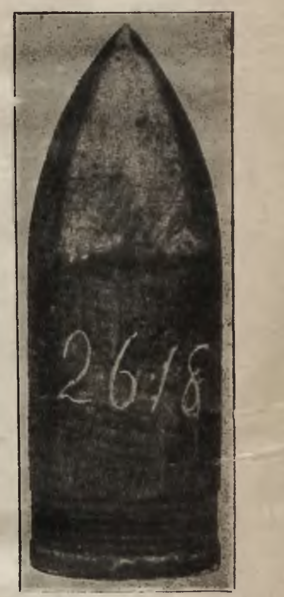
Naokoło obu jenerałów, spotykających się po raz pierwszy, by sobie wyrazić podziw, zgromadzili się szerokiem półkolem żołnierze japońscy i wznoszą na cześć Stoessla okrzyki pełne zapału. W dali, na wzgórku, bieli się sztandar kapitulacyjny.

Japońscy robotnicy budują kwatery zimowe dla swojej armii w Mandżuryi. Kwatery zimowe buduje się w Mandżuryi bez przerwy. Znaczy to, że i wojna przerwy nie dozna. Obaj przeciwnicy, prawie równie silni, jak gdyby nie mogli odważyć się na przelanie całego morza krwi, czekają bezczynnie.

Napozór bezczynnie, bo i te małe porażki, o jakich słyszymy, świadczą, że w tych dwóch, napozór martwych obozach, wielkie się przygotowywują rzeczy. Coraz to jakiś transport jeńców odchodzi kolejami. A wodzowie studyują mapy i kombinują.

Na rycinie widzimy, jak robotnicy chińscy, zwani kulisami, budują Japończykom kwatery zimowe. Kulisów tych mają Japończycy do dyspozycyi całe tysiące. Robotnik to tani, niewymagający, a pracowity. Materyały zwożą osobne wózki dwukołowe. Składa on się z kamieni, gliny, drzewa oraz liści. Jak widzimy z ryciny, mieszkania te już z samego pozoru wydają się ciepłe, a zarazem przewiewne i zdrowe.

Kulisi, jak widzimy, używają do roboty tych żołnierskich lepianek, cebrzyczków, napełnionych gliną i motyk. Resztę roboty wykonano już przed nimi. Czynią to, co nasi chłopi po wybudowaniu swych chat, t. j. jedni dają na wierzch mieszkania zimowego polepę, drudzy zaś mchem i gliną wypełniają szczeliny w ścianach. O tych wszystkich przygotowaniach nie wiedział wcale jenerał Stoessel — dowiedział się o nich, jakoteż o klęsce Kuropatkina nad rzeką Sza dopiero z ust samego Nogiego podczas rokowań kapitulacyjnych.



Z wojny ros.-jap.: Pocisk wybuchowy armatni.

Szpiegowie Stoessla byli tak niedołężni i takie fałszywe wiadomości rozszerzali w twierdzy, że obrońcy Portu nie mieli najmniejszego pojęcia o wypadkach w Mandżuryi, nie mówiąc już o tem, że i linia stanowisk i obozu japońskiego była im całkowicie nieznaną.

Zniszczenie floty rosyjskiej nastąpiło ostatecznie z chwilą wzięcia Portu Artura. Zaczęło się zaś z początkiem lutego podstępnym atakiem floty japońskiej na okręty rosyjskie. Ryciny przedstawiają pocisk wybuchowy armatni, oraz pancerze stalowe okrętów, przebite przez torpedy. Na jednej widać cztery otwory wlotu, na drugiej tyleż otworów wylotu wraz z końcami torped.

Te pancerze stalowe pokrywają dolną część okrętu, zanurzającą się w wodę, gdyż ta właśnie część potrzebuje największej ochrony, bo trafiona pociskiem wkrótce może sprowadzić napełnienie się spodu okrętu wodą, a co za tem idzie przybranie na wadze i zatonięcie. Wszelkie inne postrzały mogą zniszczyć górne części okrętu, mogą uszkodzić maszty i maszyny, oraz wyrządzić wielkie straty w ludziach, nie mogą jednak sprowadzić natychmiastowego zatonięcia. Flota rosyjska jest już dziś zniszczona. Zniszczenia tego dokonano rozlicznymi sposobami.

A mianowicie część okrętów utonęła, trafiwszy przypadkiem na miny morskie, których położenia przypuścić nie zdołano. Część druga utknęła na minach skutecznie i umyślnie podłożonych przez Japończyków. Spora część została przedziurawiona przez pociski nieprzyjacielskie.



Z wojny ros.-jap.: Płyta stalowa grubości 15 cali a przebita przez pocisk japoński.



Z wojny ros.-jap.: Płyta stalowa grubości 12 cali, okrywająca okręt a przebita czterokrotnie przez pocisk.

LUEGER W KOŁOMYI.

Opowieść wesoła, zaczerpnięta ze stosunków galicyjskich

przez

Grzegorza Smólskiego.

6 (Ciąg dalszy).

— W imieniu prawa – woła komisarz donośnym głosem — aresztuję pana!

— Mnieee... zaa coooo?

— Nie udawaj pan zdziwienia! Nic to panu nie pomoże.

— Mnieee... aa...resztować! Rzeeecz...

— Dość komedyi!... Kto pan jesteś? co tu robisz?

— Cooo rooobię?... kandyduję!...

Komisarz zaśmiał się głośno.

— Kandyduje... dynamitem!

— Naa miłość Booga...

— Kto Pan jesteś?

— Dr. Ezechiel Floch, rabin z Stadlau.

— Pan jesteś — azys panem. Piękny ruf!... Proszę się wylegitymować.

— Oto moje bilety wizytowe, listy...

— To żadna legitymacya. Każdy łotr może sobie kazać zrobić bilety na dowolne imię i nazwisko, również listy adresować pod zmyślonem nazwiskiem. Dla nas to nie jest żadna legitymacya.

— Przysięgaaam!

— A to co? – rzecze komisarz spostrzegłszy strój żydowski. leżący na kanapie.

— Ubiór żydowski.

— Widzę... chciałeś się ptaszku przebrać, by zmylić pogoń za sobą.

— Chciałem się przebrać, bo tu chasydzi... faktor, który tu stoi może poświadczyć.

— Ja o niczem nie wiem – odpiera Goldstückel – niech się pan mną nie wymawia. Wiem tylko tyle, co mogę *pszisięgnąć* każdej chwili, że ten pan zażądał cały ubiór żydowski z cices, talesem i fałszywe pejsy... To mój interes, więc przyniosłem. Więcej nic nie wiem.

— Świadek – rzecze komisarz – zrobi potem zeznanie do protokołu. Poczem dodaje:

— Co za głupia wymówka. Gdybyś pan był istotnie rabinem. nie potrzebowałbyś się dopiero przebierać za żyda. Rabini chodzą po żydowsku, nie zaś w modnem ubraniu salonowem.

— U nas nie... Chciałem się przebrać, by sprawić na wyborcach żydowskich dobre wrażenie.

— Wykręt!

— Jestem zameldowany.

— Wiem o tem, lecz fałszywie.

— Co fałszywie!... jestem zameldowany jako dr. Ezechiel Floch.

— Żądam legitymacyi – rozumiesz mnie pan?

— Daję słowo honoru — przysięgam!

— Androny!... Gdybym nawet wierzył, że czarne jest białem. w rabinostwo pańskie nie mogę żadną miarą przypuszczać, żebyś pan miał sprawiać sobie ubiór żydowski w Kołomyi. Chcąc istotnie oszukiwać wyborców, byłbyś się pan zaopatrzył we wszystko w Wiedniu, nie tutaj, gdzie pana przecież widzieli ludzie w stroju francuskim na dworcu kolejowym. w hotelu... Mnie nie zdurzysz bratku tak głupią opowieścią! – i zwracając się do żandarma rzekł:

— Proszę zabrać to wszystko – ważny corpus delicti.

Na to woła obcy w rozpaczy:

— Wielce czcigodny przedstawicielu c. k. władzy rządowej pleno titulo! cóż miałem zrobić, gdy mi w drodze skradziono kuferek, w którym wiozłem z Wiednia strój żydowski. Spostrzegłem kradzież przed Stanisławowem. Zatrzymałem się tam, chcąc kupić sobie ubiór żydowski, lecz gotowego nie dostałem. Musiałem go więc sprawić sobie tutaj.

— Opowiadaj pan bajki komu innemu, nie mnie!

— Dostojny panie zlituj się nademną!... nie wtrącaj mnie w nieszczęście, w które sam nie wiem, jak wlazłem. Mam tyle na głowie... mowa... wizyty... agitacya...

— Po raz ostatni wzywam pana, byś się wylegitymował, lub z nami w drogę!

— W drogę?.,. dokąd?

— Do ciupy, mospanku!

— Jaaaj!...

— No, prędzej!...

— Mam listy, bilety, fotografię... oto mój wizerunek.

— Skądże ja mam wiedzieć, jaki łotr kryje się w tej podobiźnie.

— Łotr!,.. ja łotrem nie jestem... Jaką mam mieć legitymacyę? U nas w Austryi niema przecie przymusu paszportowego.

— Brać go!

— Dla Boga, proszę zaczekać... Mam znajomych, którzy mogą stwierdzić tożsamość mojej osoby.

— Jakich?

— W Wiedniu bardzo wielu.

— Niech staną i świadczą.

— Zatelegrafuję do nich, by przyjechali.

— Bardzo pięknie, lecz tymczasem ptaszku zaczekasz na nich u nas w klateczce. Mógłbyś tak samo odwołać się na szacha perskiego lub na Mikada.

— To gwałt... możliwy tylko w Galicyi.

— Pokażę ja ci zaraz Galicyę...

— Narobię hałasu w Wiedniu...

— Brać – rzecze komisarz do żandarmów, którzy zabierają się do spełnienia rozkazu.

W tej chwili odzywają się z ulicy okropne krzyki, wycia, gwizdy, a równocześnie zaczynają wylatywać szyby w oknach z brzękiem na podłogę pokoju.

Ogłuszający, piekielny hałas i wrzawa.

Przez powybijane okna zalatują ochrypłe głosy:

— *Sołste brechejn dy kiszkes.*

— *Schwarze Jur sołste habn!*

— *Paszoł mit ihm!*

Na czele chałatowców, demonstrantów chałatowych dokazuje najwięcej Krikalis z czerwoną chorągiewką w ręku.

Wrzeszczy, iż mało nie pęknie:

— Hańba mu, hersztowi klerykałów!... *auf dyn Tuk mit ihm, auf dyn Gałgen!...*

Z wielką trudnością torują żandarmi wśród ciżby żydowskiej drogę komisarzowi do stojących dwóch fiakrów przed hotelem. Komisarz wsiada do pierwszego, w drugim zajmują miejsce obydwaj żandarmi z więźniem miejsce.

Wybiega Goldstückel i krzyczy na całe gardło:

— *Gajt zü Haus — kikt, dyn herszt haben genimen dy Schandaren zü sich!*

Tłum wybucha nagle dzika radością.

— Er ist arretiert!

— Wiwajt rząd cisarski!

— *Man fahrt ihm auf dyn Gałgen!*

— *Wiwajt pan komisarz.*

— *Du sołst brechejn dyn kark, du sołst arimgejn in grojsse Cures!*

— *Das Chojle Nojfel sołst dü kriegn!*

— *Kikt dyn Majłech vün dy Antesemiten, wie er geit auf dy szubenice!*

Więzień mdleje z przestrachu.

VIII.

Na rynku, rojącym się żydami, stoi przed hotelem dr. Turteltaub z Goldstücklem i zacierają sobie ręce z radością. Udało im się uprzątnąć z widowni wyborczej wroga bardzo groźnego i niebezpiecznego. Juźci wypuszczą go na wolność, lecz dopiero za dni kilka, po wyborach, gdy przyjaciele jego przybędą z Wiednia do Kołomyi, by stwierdzić tożsamość jego osoby. Tymczasem „pan Wiednia“ posiedzi sobie w kozie kołomyjskiej. Powinna odejść mu ochota raz na zawsze do robienia wycieczek do Galicyi... Chciał grać rolę rabina Flocha. Co za zuchwały i przebiegły pomysł. Wszystko jednak na nic! Goldstückel pobił go z kretesem wyższością rozumu.

Dr. Turteltaub klepie z przymileniem Goldstückla po ramieniu.

— Simche – powiada – masz dobrą *kepełe.* Pomysł twój był genialny. Teraz wie, że Kołomyja nie Wiedeń. Jemu chodzić u nas do *jesziwe...* Prawda, że pękła tysiączka, lecz bynajmniej mi jej nie żal.

— Gdyśmy uprzątnęli największego wroga — mówił Goldstückel — to damy sobie już radę z wszystkimi inymi. Hrabia sam się zabija skąpstwem i brakiem odwagi. Przestał być dla nas niebezpiecznym, zwłaszcza, że kupiliśmy Niesamowitego i Namentowskiego, obydwóch największych jego agitatorów. Kiełbasowski, ani Przekrasa nie pomogą mu. Rabin Floch niebezpieczny kandydat, lecz na szczęście spóźnił się z przyjazdem. Na dziś zwołał kahał wielkie zgromadzenie, a jego jeszcze tu niema. Może wcale nie przyjedzie. Słychać, że u niego brak pieniędzy.

— Wtedy nasza wygrana byłaby pewną — zauważył dr. Turteltaub. Mam Simche wielkie zaufanie do ciebie, a więc i nadzieję, że zwyciężymy, chociażby rabin z Stadlau przyjechał. Wszak pieniędzy nie żałuję, a pieniądz przecie główna rzecz.

Przechodzi chłopiec hotelowy niosąc nowe numery „Kukułki“ i „Makolągwy“.

— Słuchajno młody przyjacielu — woła dr. Turteltaub — daj nam gazety do przeglądnienia masz na piwo.

— Mam osobny numer, z jednej i drugiej redakcyi — mówi chłopiec — dla wielmożnego pana.

— Jeszcze lepiej... Redaktarowie – powiada do Goldstückla – łaskawi dla mnie. Głupie piśmidła, lecz trzeba je przecież mieć po swojej stronie.

„Kukułka“ ma artykuł wstępny p. n. „Kandydaci krajowi“. W nim dr. Maksymilian Turteltaub trzy razy tłustymi głoskami odbity, podczas gdy hr. Młodzieński tylko „garmondowany“ nawet bez rozstrzelenia. *„Makolągwa“* przynosi apoteozę „kandydata demokratycznego, twierdząc, że to mąż najzasłańszy, jakiego Polska wydała w XIX stuleciu.

Wieść o przybyciu dr. Luegera dotarła do przedmieść. Co on zacz, nie wiedzieli wyborcy chrześciańscy, szczególnie analfabeci. Agitatorowie „stronnictwa chrześciańskiego“ mówili im, że cesarz przysłał go, żeby zrobić porządek z żydami. Ma on odbyć wielki sąd na żydów. Zdarzyło się jednak, że właśnie dziś rankiem Szmaja Cybuch zjechał z sądową komisyą na przedmieście grabić Hrycia Kowałyszynego za dług niezapłacony. Przedmieszczanie zbiegli się i stawili opór, lecz gdy przyszli później żandarmi przeprowadzono grabież prawidłowo. Osłabiło to nieco ich wiarę w wszech moc Luegera, lecz mimo to objawiało się między nimi wielkie poruszenie i zachwyt.

Brandmajer i Sedlaczek z polecenia Kiełbasowskiego sformowali korowód przedmieszczan dla powitania Luegera i w celu wzięcia udziału w nabożeństwie, urządzonem na intencyę zwycięstwa „kandydata chrześciańskiego“. Na czele korowodu szło bractwo kościelne z swoją chorągwią, potem niesiono na wysokiej żerdzi dużą drewnianą tablicę z napisem: „Do kupy chrześcianie!... głosujmy jak jeden mąż na jaśnie wielmożnego Augusta hrabiego Młodzieńskiego z Oleksiniec! Nie dajmy się niedowiarkom!“

Zaroiła się ulica Praska przedmieszczanami. ciągnącymi ku rynkowi. Tłok był tak wielki, że pociąg kolei lokalnej ugrzązł w tłumie. Korowód wzbudził zaniepokojenie między żydami, którzy na okrzyk: *„kik, dy gojen kimmen!“* wylegli czarną chmurą na rynek przy znacznie wzmocnionej straży policyjnej.

Korowód podążył wprost przed hotel, by uczcić okrzykami dostojnego gościa. Krzyczano z całej siły, aż mury trzęsły się, lecz Lueger nie ukazał się ludowi witającemu Natomiast wybiegł hotelista, upominając rozentuzyazmowanych, żeby byli cicho.

— U mnie niema żadnego Luegera – prawił – dajcież. panowie gromada spokój z krzykiem.

Ktoś zawołał:

— Niema go, bo żydzi go zaaresztowali!

Słowa te przejmują korowodziarzów.

Stary braciszek, szewc Dzięcioł, krzyknie:

— Sędziego cesarskiego zaaresztowali psiawiary... Niepozwolimy!... Hej, panowie bracia, trzeba go odbić z rąk...

Nie mógł skończyć, gdyż w tej chwili chwycił go policyant pod gardło, wołając:

— Jak pan majster nie będzie cicho – wsiej czas pójdzie do ciupy. Milczeć i cicho siedzieć!

Uciszył się więc wraz z korowodem, który zaintonowawszy pobożną pieśń: „Kto się w opiekę podda Panu swemu“, zrobił zwrot w prawo i udał na nabożeństwo do kościoła, by od Pana panów wymodlić zwycięstwo w walce wyborczej.

Zajeżdża pyszną czwórką zaprzężony powóz hrabiego wśród trzasków bicza przed sklep Korpacza, gdzie w pokoju śniadaniowym znajdowali się „na przekąsce“ baron Seydel, Jasio, Niesamowity, Namentowski i Przekrasa, aptekarz Szypułka i Sedlaczek.

Korpacz i goście ze sklepu wyszli na powitanie.

Z powozu wysiada hrabia Młodzieński i jakiś obcy jegomość, długi, chudy, w pomiętym kapeluszu z szerokiemi kresami, poplamionym popielatym surducie i wykrzywionych, połatanych cieżemkach.

Niktby się nie domyślił, że to „ekscelencya“. członek komitetu centralnego.

Korpacz czołobitnie zgięty w dwoje wita „jaśnie wielmożnych wysokich gości“ nie posiadając się z honoru, iż zaszczycają jego lokal.

Ekscelencya odpowiada na składany hołd:

Lokal fraszka, grunt kozina
I dobrego lampka wina.

Hrabia i ekscelencya udają się z towarzystwem do pokoju śniadaniowego. Hrabia dotychczas jeszcze w nim nie był. Jasio każe co prędzej przynieść szampana mrożonego, czemu ekscelencya sprzeciwia się mówiąc:

Szampan!... daj spokoj!... wolę węgrzyna,
Od marcypanów lepsza kozina.

C. d. n.



Jadwiga Mrozowska.

Migawki teatralne.

Szyk stylowej Paryżanki, wdzięk Warszawianki z krwi i kości, a uroda prawdziwej Krakowianki — uroda, która obejdzie się bez klasycznych rysów twarzy, bo główną jej okrasą są błyszczące niby dwa rozrzażone węgielki oczęta — to *exterieur* Jadwigi Mrozowskiej.

Gdy Tadeusz Pawlikowski objął dyrekcyę teatru miejskiego we Lwowie, w kancelaryi jego zjawiła się młoda panienka, z oczkami błyszczącemi zapałem. Panienka prosiła o *engagement* na nową scenę, a dyrektor, który słynie z tego, że umie przeczuwać, ktośna talent, przed kim kiedyś otwiera się przyszłość na scenie, wcielił ją bez wahania w szeregi swej gwardyi, wpisując do rubryki „charakter“ dwa słowa: „artystka dramatyczna“.

I Mrozowska poczęła pracować w dramacie. Sumienność w opracowywaniu każdej, choćby najdrobniejszej rólki, śmiałość rysunku każdej odtworzonej przez nią postaci, umiejętność wżycia się w każdą kreacyę i łatwość w zrozumieniu, czego autor od danej roli wymaga — zwróciły na nią uwagę prasy i publiczności, a nie uszły także uwagi dyrektora, który zwolna, coraz częściej zaczął się posługiwać tym młodym talentem.

Ale Mrozowskiej dramat nie wystarczał. Jej szampański humor, jej szalony temperament poszukał sobie gdzieindziej ujścia i oto po krótkiej służbie w charakterze artystki dramatycznej, widzimy ją pod sztandarem operetki.

To też żal niekłamanu ogarnął publiczność lwowską, gdy dowiedziano się, że młoda artystka rzuca operetkę i znów wstępuje w szeregi dramatu, a żal ten zwiększył się na wieść, iż opuszcza ona Lwów i przenosi się do Krakowa pod skrzydła p. Kotarbińskiej.

A Kraków przyjął znów wiadomość tę z radością. Znając Mrozowską z recenzyi, każdy z prawych Krakowian cieszył się nadzieją, że wreszcie po tylu chudych sezonach, nastanie bodaj jeden tłusty, że wreszcie ujrzy na scenie rodzimej kobietę, godną nazwy artystki.

Z otwartemi rękami przyjęto u nas Mrozowską, jako zapowiedź lepszej przyszłości dla naszej zdegenerowanej sceny. Spodziewano się, że wreszcie dyrekcya poprawi fatalne swe błędy i postara się złożyć, choć mały, ale doborowy personal. Złudne to jednak były nadzieje. P. Kotarbińska nigdy nie myślała o podniesieniu poziomu sceny krakowskiej, o dźwignięciu jej z tego upadku, w który go sama popchnęła. Mrozowska pozostała w Krakowie, ale innych sił, sił prawdziwych nie sprowadzono więcej, ba nawet tej Mrozowskiej nie wolno zbyt często ukazywać się na scenie zapewne dlatego, aby innym adeptkom dyrekcyi nie robiła konkurencyi, aby porównanie jej gry z kawęczeniem innych, nie wypadło dla zarządu teatru zbyt fatalnie.

Czy trzeba na to dowodu? Weźmy choćby ostatni przykład! Kraków poznał wreszcie komedyę Rostanda, która obiegła już świat cały, „Cyrano de Bergerac“. W komedyi tej jest jedna tylko główna rola kobieca, postać Roksany, którą, aby odtworzyć, trzeba mieć talent i serce, dwie zalety posiadane w wysokim stopniu przez Mrozowską.

Ale — zrządzenie teatralnej opatrzności inaczej zapatrywało się na tę sprawę. Nie Mrozowskiej powierzono tę rolę, ale protegowanej pani, która z artyzmem, przynajmniej dramatycznym, ma bardzo mało wspólnego. Ten mały przykład z ostatnich chwil chyba wystarczy!

Pomimo to jednak Mrozowska potrafiła już na naszej scenie skroń swoją uwieńczyć w wawrzyny, potrafiła zdobyć sobie uznanie i sympatyę.

* * *



Michał Tarasiewicz.

Michał Tarasiewicz! Zna go dobrze Lwów, zna go Kraków i Warszawa, we wszystkich tych miastach zbierał on czy to na scenie, czy na estradzie koncertowej huczne oklaski — a jednak ogólny głos krytyki, który przyznaje mu talent, który podziwia jego głos miły o metalicznem brzmieniu, giętki, a niezwykle uzdolniony do modulacyi i ekspresyi uczuć, godzi się na jedno: nie widzi w nim artysty dramatycznego, ale uznaje w nim jednego z najpotężniejszych deklamatorów polskich.

Zarzutu z tego powodu Tarasiewiczowi robić nie można, bo to już leży we krwi wszystkich deklamatorów, to właśnie jest ich cechą, że o ile dobrze wyglądaja na estradzie koncertowej we fraku, o tyle na scenie i w szminkach i kostyumie tracą na wartości. Przeżyty dziś już, a swego czasu zbierający laury deklamator polski Kotarbiński, jest żyjącym dowodem prawdziwości tego twierdzenia. A zresztą z życia młodego deklamatora można wysnuć także, że tak jest, nie inaczej.

Scena krakowska, która swoją drogą byłaby go chętnie zatrzymała, wskrzesiła klasyczny repertuar, polegający jedynie na deklamacyi, tylko dlatego, że miała do rozporządzenia tak wspaniałego, jak on deklamatora.

Lwowski teatr, mający przez dyrekcyę wykreślony całkiem inny kierunek, teatr, że tak się wyrażę — modernistyczny, hołdujący nowym prądom tak w doborze repertuaru, jak i w wykonaniu sztuk, nie mógł dla Tarasiewicza, jako dla deklamatora znaleźć zastosowania.

Natomiast Warszawa, posiada Filharmonię, a w niej wspaniałą salę koncertową, potrzebującą dla urozmaicenia wieczornych programów deklamatora, któryby stał na równi z muzykami i śpiewakami występującymi na tamecznej estradzie, przyjazd Tarasiewicza na stały pobyt w mury syreniego grodupo witała z niekłamaną i uzasadnioną radością. Na afiszach koncertów w Filharmonii nazwisko Tarasiewicza zawsze spotkać można. Publiczność warszawska ceni go i poważa, darzy oklaskami i wieńcami, a prasa nie szczędzi mu pochwał.

Z tą chwilą, w której młody artysta pożegnał scenę i poświęcił się deklamacyi, wstąpił na właściwą sobie drogę.

Po starym Konopce, po Kotarbińskim, dzierży on dzisiaj berło królewskie na polu deklamacyi i słusznie, bo głos jego potrafi oddać wszystko i ból i radość i smutek bezbrzeżny i rozpacz szaloną i ten wściekły humor, co tryska na pozór hucznym śmiechem, choć serce się rozdziera w kawały...

I na tem nowem stanowisku jak najdłużej chcielibyśmy go widzieć, bo na niem może jak najnajlepiej przysłużyć się sztuce i poezyi, która w żywem słowie stokroć lepiej, silniej i goręcej przemawia do serca słuchaczy, niż w słowie drukowanem!..

Z TYGODNIA.

Kiedy na Wschodzie upadł Port Artura,
Gdy smutne laury cała Rosya zbiera
Uczuła ruska szeroka natura,
Że trzeba gwałtem stworzyć – bohatera...
I oto dobra sposobność się zdarza
By Port Artura zrównać do Zbaraża

Bo bohaterów przecie w armii nie brak
Jest taki Stoessel, to nie Kondratienko
Co łaski wroga nie prosił jak żebrak,
Gdy w garnizonie zaczęło być cieńko.
Wyszli moskale — pozbawieni broni
Na śmiech dla świata – tryumf dla Japonii.

U nas podobni są też bohaterzy,
Co miasto naszu jak wandalów zgrają
Każdy z nich swoje tępe zęby szczerzy,
Bo zwykle szczerzą, ci, co ich nie mają,
I pragnąc działać na szkodę rodaków
Chcą ogołocić z drzew calutki Kraków.

My mamy sprawy, które w pierwszym rzędzie
Są u nas zawsze na porządku w mieście —
I Rostafiński pewnie płakał będzie,
Gdy się poczuje botanikiem wreszcie
Nie przypuszczamy, że on z własnej woli
Na drzew niszczenie wandalom pozwoli.

Jednak na drzewa chcą zrobić ten zamach:
Jest piękny ogród przy bibliotece —
Dziś chcą go wyciąć, aby w ciasnych ramach
Zbudować nową nauki fortecę.
Zamiar chwalebny — i ja go nie ganię —
Czy w dobrem miejscu: to jeszcze pytanie!...

Wszakżeż ten ogród, chociaż dosyć mały
Ozdobą całej jest dzielnicy miasta
Pełen zieleni i cienia w upały,
Bo wiele pięknych drzew się w nim rozrasta —
Wnet drzewa wytną i klomby poburzą,
Aby postawić kamienicę dużą.

Czyliż ogrodów ma Kraków za wiele
Lub też za wiele świeżego powietrza?
Nikt w ich obronie nie wystąpi śmiele,
Że niszczyć lasów i ogrodów nie trza
Milsze są drzewa dla płuc, jak i źrenic,
Niż najwspanialsze szeregi kamienic!

A zresztą Kraków, dziwny gród zaiste!
Choć całe wieki w murach tych zdrzemały,
Choć ma z przeszłości pamiątki ojczyste
I Sukiennice i Rynek wspaniały.
Jednego braknie od jego początku
Jednego braknie — to znaczy: porządku.

Śnieg zasypuje ze szczętem chodniki
Z każdego dachu zagraża lawina,
Cieszą się z mrozu tylko uliczniki.
Gdy się w rynsztokach ślizgawka zaczyna
A mniejsza o to, gdy kto rękę złamie
Na śliskiej drodze – albo zwichnie ramię.

Lecz pan prezydent do zdrowia powraca
I w Magistracie naszym Bogu dzięki —
Systematyczna rozpocznie się praca,
Gdy sam pan burmistrz dołoży swej ręki
I gdy ster rządów ujmie człowiek młody,
Zakwitnie Kraków tak jak inne grody!...

Wilhelm Kurz.

Konserwatoryum pragskie, które wyprodukowało taką wielką liczbę muzyków i skrzypków, nie wydało w ostatniem trzydziestoleciu ani jednego pianisty o wybitnym polocie i technice — pianisty, któryby wypłynął na szeroką arenę europejskiej sztuki. Pierwszym wybitnym pianistą-wirtuozem, zbierającym laury i uznanie arystarchów krytyki europejskiej, jest Wilhelm Kurz, obecnie profesor lwowskiego konserwatoryum, którego dyr. Sołtys, jako przewodniczący komisyi egzaminacyjnej dla muzyki, powołał na członka komisyi tej — dla gry fortepianowej.

Prof. Wilhem Kurz (ur. w Niemieckim Brodzie w Czechach 26 grudnia 1872) uczył się muzyki w pragskiej szkole dla organistów w latach 1887—1896, a mistrzem w grze fortepianowej był mu wyborny pedagog Jakób Holfeld. Pomocnicze studya muzyczne odbywał pod kierunkiem Blażka. Skuherskiego i Knittla. Po zakończeniu w 1890 r. studyów muzycznym egzaminem państwowym na uniwersytecie pragskim, wystąpił Kurz w roku następnym po raz pierwszy publicznie w Pradze i zdobył sobie tamtejszą muzykalną publiczność wstępnym bojem.

Sukces, odniesiony w metropolii Czech, otwarł mu podwoje sal koncertowych nie tylko całego kraju.

W tym samym roku staje Kurz do konkursu imienia Rubinsteina w Berlinie i sam jeden podtrzymuje z honorem współudział w tym turnieju swych kolegów austryackich i czeskich, co ułatwiło mu wielce i przygotowało życzliwe i uznania pełne przyjęcie w Wiedniu, gdzie krytyka miejscowa nie szczędzi wybornemu pianiście pochwał i wyrazów uznania. W r. 1896 wyjeżdża Kurz na południe w towarzystwie słynnego skrzypka Cezara Thomsona, zwiedzając Linc, Trydent, Arco i t. d.



Wilhelm Kurz.

Sława młodego pianisty czeskiego nabierała coraz więcej jaśniejszego blasku, a wziętość jego gry szła w górę na rynku tranzakcyj artystycznych.

Artystę naszego wzywają do współudziału w słynnym kwartecie czeskim, poczem towarzyszy takiej artystce jak Bellincioni i t. d. Któżby zmierzył długą drogę w zygzak, jaką odbył artysta, obwożąc i produkując swój talent — któżby zdolen był policzyć perły, które hojną dłonią rozsypywał po salach koncertowych Europy środkowej.

Kiedy w r. 1898 zmarł we Lwowie śp. Władysław Wszelaczyński — jednym z najpoważniejszych kandydatów na stanowisko profesora najwyższych klas gry fortepianowej w konserwatoryum lwowskiem był Kurz.

I przeszłość artystyczna Kurza i chlubne świadectwa i wreszcie wysoce sympatyczna jego osobistość, zjednały niemal wszystkich członków wydziału lwowskiego Towarzystwa muzycznego do oddania głosów Kurzowi i powołania go na zaszczytne i wybitne stanowisko. Na stanowisku tem pracuje z chlubą, mając wierną towarzyszkę w swej uroczej małżonce, równie zdolnej i niepośledniej pianistce. Sympatyczna ta para zżyła się z naszemi galicyjsko-lwowskiemi stosunkami zupełnie, a owładnąwszy zupełnie język polski i otworzywszy przy swem ognisku domowem artystyczny salonik, gromadzi czysto muzykalne i sztuce oddane jednostki pod gościnnym swym dachem. Miluchne mieszkanko p. Kurzów przy ul. Zielonej bywa często widownią najszlachetniejszych zawodów artystycznych, przeznaczonych dla dusz wybranych, czujących szczerze, a umiejących na prawdę słuchać muzyki.

Na stanowisku profesora konserwatoryum, cieszy się Kurz sympatyą i niemal bałwochwalczem przywiązaniem licznego zastępu uczni i uczennic, tudzież szczerem uznaniem publiczności, oczekującej z niecierpliwością każdej produkcyi tego wybornego pianisty.

ZBYSZKO Z BOGDAŃCA.

NARZECZONA KŁUSOWNIKA.

Nowela z życia ludu wiejskiego.

4 (Ciąg dalszy)

— I! niech on sobie gada, co mu się podoba! Ja tam sobie nic z tego nie robię! Chce gadać, to niech gada! Chce się odgrażać, niech się odgraża! Już to ja wiem, że jemu nie o kłusownictwo moje chodzi, tylko o to, że mnie się boi, a chętnie by sobie chciał zapolować w moim rewirze, przy Hani! Ze służby jednak on mnie nie wypędzi, bo wie dobrze, że ja znam wszystkie jego sprawki, i pewnie bym cicho nie siedział, gdyby mi chciał jaką krzywdę zrobić! Dobrze się stało, żem go na tem wyłapał, jak nocą z pańskiego spichlerza sprzedawał Lajzerowi pszenicę!...

Marcin ciekawie spoglądał na parobczaka i kiwał głową ze zdumieniem.

— No! no! — wyszeptał — jaśnie wielmożny pan i złodziej! No! no!...

A tymczasem Jaśko grożąc zaciśniętą pięścią w stronę dworu, mówił dalej:

— Już ja tego łotra nauczę! ja mu pokażę, ile to pańskiego grosza i naszej krwawicy przylepiło się do jego paluchów!...

— Et! — szepnął stary wieśniak, machnąwszy dłonią z powątpiewaniem — Bóg wysoko, a pan daleko!

— Cóż wy myślita — rzekł szybko Jaśko — że ja może pójdę skarżyć na niego do sądu, albo do żandarmów? Wiem ci, że kruk krukowi oka nie wykole i że pan Giorczak dobrze żyje z tymi, co mu powinni patrzeć na ręce, wiec też nie boi się ich wcale! O! nie do sądu, nie do żandarmów pójdę!...

— Więc co zrobisz chłopcze? — zapytał Marcin — głową muru nie przebijesz! Daj lepiej spokój, bo takiemu panu, to trudno nogę podstawić!...

— Nie tak to znowu trudno, jak się wam zdaje Marcinie — zaśmiał się Pogórny — chwalić Boga uczyłem się czytać i pisać. Nie uczenie więc, ale po prostu, po chłopsku napiszę o wszystkiem, co tu się dzieje naszemu dziedzicowi do Francyi, a pewnikiem zjedzie on do nas zrobić z tym Giorczakiem porządek!...

— Dyć sprytnieś to sobie obmyślił — szepnął stary wieśniak — masz głowę na karku i pewnie nie zginiesz w świecie, ale ja jużbym dla miłego spokoju wolał, żeby się bez wszystkich onych breweryi obeszło!...

Nie skończył Marcin jeszcze mówić, gdy do izby wszedł młody pastuszek, który powitawszy siedzących starem: „niech będzie pochwalony“, odezwał się do Pogórnego.

— Słuchajcie Jaśku, pan ekonom kazali, żebyście duchem przylecieli do niego, bo ma was gdzieśik posłać.

— A no, to idę! Ostańcie zdrowi Marcinie! Bywaj zdrowa Haniu!

I młody parobczak uścisnął dłoń starego pastucha, potem objął w pół zarumienioną dziewuchę i wycisnąwszy na jej ustach dwa gorące, głośne pocałunki, krzyknął na pastucha:

— Chodźmy Tomek! a wy ostawajcie z Bogiem!...

Słaby blask księżyca, który dopiero co zeszedł na niebie, oświetlał wąską drożkę, wijąca się wśród chałup wiejskich, która prowadziła w stronę zabudowań dworskich, gdzie w małym dworku opodal gumien mieszkał ekonom Ścibora, prawa ręka plenipotenta Giorczaka.

Pogórny rączym krokiem przybył tą drogą i stanąwszy przed domkiem ujrzał na ganku Ścibore, który, ćmiąc cygaro, trzymał list jakiś w ręku.

— Słuchajno ty Pogórny — wiem, że jesteś sprytny i prędko się sprawić potrafisz, więc chciałbym ci dać i zarobić jakie trzy papierki!...

— A no! ja na to, jak na lato! — odpowiedział uśmiechając się Jaśko — a co mam zrobić proszę łaski pana ekonoma?

— Znasz ty Moszka, tego faktora z miasteczka?

— Ktoby go nie znał! Toż on na jarmarku taki krzyk robi, że go aż żandarmi uspokajać muszą!...

— Masz więc tu list do niego. Polecisz zaraz i wrócisz mi jeszcze przed świtem z odpowiedzią, a za to masz tu trzy papierki!

— Dobrze, proszę łaski pana ekonoma!...

— Ścibora popatrzył nań bystro.

— Za pół godziny będziesz już napewne w drodze?...

— Za pół godziny? — zaśmiał się parobczak — a cóż to ja na wojnę idę, żebym się miał pół godziny wybierać? Skoczę jeno do stajni, wezmę sukmanę i dalej w drogę!...

— No! to idź z Bogiem i wracaj prędko, bo mnie na odpowiedzi bardzo zależy!...

Zaledwie Pogórny znikł z przed dworku i zginął gdzieś na skręcie drogi, z pomieszkania Ścibory oględnie wysunął się Giorczak na ganek.

— I cóż? — zapytał ciekawie — poszedł?!

— Naturalnie! — odpowiedział wesoło ekonom podkręcając wąsa.

— Niespodziewałem się jednak, żeby ci to poszło tak łatwo. Wiem, że ten cham podejrzywa mnie, że czuje, jak chętnie bym mu przyprawił rogi. Nie myślałem więc, żeby tak łatwo rzucił dziewkę i pójdzie do miasteczka gonić wiatry w polu!...

— E, mój kochany — rzekł na to Ścibora, klepiąc poufale po ramieniu swego towarzysza — czego to taki chłop dla trzech guldenów nie zrobi! Ręczę ci, że gdybyś mu tak tę cyfrę podwoił lub potroił, toby ci nawet samą dziewuchę przyprowadził do domu!

— Wierzę ci, wierzę, stary łotrze, ale wolę już nie robić mu takich propozycyi i nie narażać na szwank własnych kości! Po cóż zresztą on mi ją ma przyprowadzać, kiedy ja wolę sam pójść do niej — oświadczył z wesołą miną Giorczak — dla tego też wolałem, żeby go dziś nie było we wiosce, bo prawdę mówiąc, ten drab jest gotów na wszystko.

— To poprostu uwolnij się od niego! Czy to tak trudno? Masz przecie wpływy i możesz kazać go zamknąć do kryminału jako kłusownika. Gdybyś zaś nie miał na to dowodów, no — tu Ścibora parsknął szatańskim śmiechem — no, to przecie potrafilibyśmy je stworzyć!

— Masz racyę! — szepnął Giorczak — być może, że ostatecznie posłucham twej rady, ale wówczas dopiero, gdy mi przyrzekniesz swą pomoc. Ty jesteś chytry, jak ten lis i musisz walczyć podstępem, potrafisz więc tę całą komedyę zaaranżować tak, żeby on mnie nawet nie podejrzewał, gdyż pewnieby z zemsty wyśpiewał w sądzie wszystko, co wie o tej pszenicy i o drzewie z lasu dworskiego, a wtedy pewnie byśmy się obaj spotkali z nim we więziennej celi. Szkoda jednak teraz tracić czasu na snuciu planów wojennych przeciw temu chamowi. Ja idę i przyszlę ci tu Marcina. Pamiętaj zatrzymać go tu tak długo, aż nie wrócę, no i przytem daj mu do zrozumienia, że może utracić służbę, jeśli tylko będzie wchodzić mi w drogę. Dowidzenia stary!

Obaj godni siebie przyjaciele uścisnęli się serdecznie, poczem Giorczak, ostrożnie, czając się i skradając, jak kot w polu, ruszył ku wiosce.

Tymczasem w chacie Marcina płonęło łuczywo. Hania krzątała się po izdebce, myjąc stołki kuchenne, a stary wieśniak wyciągnąwszy się leniwo na ławce opowiadał dziewczynie:

— Pogórnemu znów dziś posłużyło szczęście w borze! Zastrzelił jucha największego kozła w całym rewirze i dziś pewnikiem poniesie go do Szmula. Przyniesie tobie potem znów sznur krasnych korali, a mnie...

— Sznur korali? — przerwała starcowi żywo dziewczyna — czy on to wam sam mówił tatulu?...

C. d. n.

ANONIM.

Na czystem, pogodnem niebie jasno przyświecał miesiączek. Było już dawno po północy, gdy pan Walenty Pyrchała, majster kunsztu obuwianego, obywatel i radny Półwsia, powracał z Krakowa do domu, kopcąc okazałe portoryko...

Śnieg suchy a drobny, który przez dwa dni nieustannie padał — grubym, miękkim jak puch, białym kobiercem pookrywał gościńce, głusząc szelest kroków ciężko stąpającego pana Walentego. Cisza panowała do okoluteńka, okna z chałup jak czarne wytrzeszczone patrzyły oczyska, nigdzie śladu żywego człowieka. Półwsie spało na całą gębę.

Był już majster prawie za furtką swego ogrodu, od drzwi domu trzy kroki, gdy w tem nagle usłyszał z niewielkiej odległości ciche skrzypnięcie wierzeji... Podejrzanem wydało mu się to o tej porze, tembardziej, że odgłos szedł od strony zaułka, z poza jego sadu, gdzie stała dość na uboczu niewielka stodółka jego sąsiadki, biednej wdowy po nieboszczyku Macieju — z trojgiem drobnych, od lat trzech męczącej się dziatek.

Walenty był nawet obrany im za opiekuna, i nieraz bywało, buciska któremu za darmo podzeluje, a i samej Maciejowej gdzie jaką przyklepie przyszczypkę...

Kobietka to była śwarna, czarnowłosa, ale cicha, porządna i pracowita... Jakież jej licho po północy łazić do stodoły? Ejże... to coś nie w porządku!.. Wprawdzie nie było dotąd nijakiego podejrzenia na nikogo — ale kto ta babę upilnuje?.. Której na świecie wierzyć można na pewno?..

Przycupnął Pyrchała za parkanem i oczy wybałuszył. Latem głogi zasłaniają doszczętnie oną szopinę — ale teraz widać wszystko wyraźnie jak na dłoni!..

Patrzy tedy i słucha...

Cóż to znowu? — Z poza stodoły cichutko wysuwa się malutki wózek o jednym koniku. — Pyrchała go zna: to ten marny kuślacysko, co Jędrek Tabiniec rozwozi nim piasek po Krakowie...

Pijak to i hulaka ten Jędrek — a przytem awanturnik znany!

Ale czego on tu chce z tym wózeckiem przed Maciejową stodołą?..

Zaczekajmy... Ha!.. otworzył pół wierzeji, znikł w czarnej. czeluści stodoły a za chwilę wyniósł korzec zboża na plecach i ostrożnie złożył na wózek...

— O ty obwiesiu! ty złodzieju! To ty do biednej wdowy chodzisz zabierać ciężko zapracowaną krwawicę?

Ale co to?.. Jędrek wsunął się znowu do wnętrza i drugi wór cisnął na poprzedni... Nie zamykał już stodoły wcale — ale rozglądnął się ostrożnie do koła, chwycił konia u pyska i prosto jak strzelił poprowadził zdobycz ku karczmie Jankiela — gdzie widocznie czekano już na niego, bo ktoś jakby na zawołanie otworzył wrota i za chwilę zniknęło wszystko...

Poszedł Pyrchała spać, nie budził już w domu nikogo — bo i po co? A zresztą — zobaczymy... Może Maciejowa sprzedała dwa korce zboża?... Juści nie temu gołopiętemu Jędrkowi... ale może być Jankielowi — a Jędrek mu odwiózł, jak to on, za byle blachę okowity...

Może ono tak — ale może i nie tak... Bo to rano już przy kawie, pani Pyrchałowa przyniosła nowinę, że ktoś biednej Maciejowej dwa korce pszenicy ukradł tej nocy ze stodoły!.,.

— Hm, hm! — mruknął pod nosem pan majster, ale jako, że nie miał zwyczaju z babami wiele dyszkurować, szczególnie w sprawach ważniejszych — wstał ze zydla, wcisnął kożuch i czapkę i poszedł do starego Bartłomieja na radę.

— Bo to uważacie — zwierzał mu się w sekrecie — człek się ta, Bogu dzięki, takiego skisia się nie boi, choć to nie przy nas mówiący i podpalić potrafi... ale mi idzie o to, żebym nie potrzebował potem czasu tracić i po sądach za świadka stawać...

— Na to jest rada! — odrzekł stary, na wszystko probantny ćwik pan Bartłomiej. — Po prostu napiszcie do prekuratoryji doniesienie, bo przecie biednych sierot tak krzywdzić nie dozwolimy ale nie podpisujta się nazwiskiem i basta!

— Ot, głowa! — zawołał uradowany pan Walenty i jeszcze tej godziny wysztychował list, nalepił markę i poszedł do Krakowa wrzucić do skrzynki.

Niezmiernie się zdziwił jednak, gdy za kilka dni otrzymał wezwanie ze sądu, ażeby się stawił na świadka w sprawie kradzieży, popełnionej w stodole wdowy po Macieju!..

Juźci — pójść, poszedł i całą rzecz zeznał pod przysięgą, sumiennie... Ale w zaufaniu zbliżył się do sędziego już po wyroku i skrobiąc się za ucho, pokornie prosił o wyjaśnienie, jakim to cudem świetny sąd, dostawszy przecie list bez podpisu, domyślił się, że to właśnie on, Walenty Pyrchała, szewc i obywatel Półwsia, jest onym świadkiem, który widział kradzież?..

Uśmiechnął się sędzia poszperał coś między papierami, a wyszukawszy autentyczny list pana Walentego, podał mu go do przeczytania.,.

Założył majster okulary, odwrócił pismo frontem do światła... prawda! podpisu nie było, ale list brzmiał jak następuje:

„*Przeświętny sądzie! Ja, niżej podpisany Walenty Pyrchała, majster szewski i obywatel z Półwsia, donoszę przeświętnemu sądowi, że w nocy z wtorku na środę ukradł Jędrek Tabiniec, ten co piasek wozi, dwa korce przenicy ze stodoły Maciejowej Grzempielonki, jako tyż, że ich zawiózł do karczmy do Jankiela. Prześwientny sąd wybaczy, że nie chcący się włóczyć po terminach za świadka, podpisywać się nie będę mojem imieniem i przezwiskiem*“.

Pyrchała przeczytał i trzasnął się po głowie...

— A tom chytrze to urządził zawołał — i poszedł na blachę do Jankiela. *Pablo.*

Zagadki do nagrody.

Rebus.



Szarada.

Druga i *pierwsza* w instrumentów rzędzie:
Ostatnie mają miejsce... *Trzecia-druga*: wszędzie
Stanowi ważne „menu“... i główną gra rolę,
Kiedy się pojawi podczas świąt na stole;
A gdy do półmisków droga już otwarta..
Zajadamy śmiało... aż do *pierwsza-czwarta!..*
Cały troszczy się tylko o własne wygody,
Wystawne lubi życie i przepyszne gody,
A kto spojrzy na jego *trzecie-pierwsze* twarzy —
Odgadnie, że on o czemś nieuchwytnem marzy...
Gdy takiego panicza u siebie znajdziecie,
Weźcie go za wygodne jego *drugie-trzecie*,..
I wyrzućcie od siebie do przybytku... czarta,
Bo taki pasożyt — godny.. *druga-czwarta!*

Łamigłówka.

Ułożył W. K.

a
a a a
a a a a a
a b b d d e g
i i k k l l ł m n
n
o o p p r
r r r r r
s t t
t
u w w
y y y y z

W powyższej figurze uporządkować litery w ten sposób, aby poziome rzędy miały następujące znaczenia:

1. Spółgłoska.
2. Poeta polski.
3. Miasto w Belgii.
4. Góry.
5. Przylądek.
6. Spółgłoska.
7. Kapłanka.
8. Miasto w Galicyi.
9. Uzębienie zwierząt.
10. Samogłoska.
11. Imię żeńskie.
12. Dopływ Dunaju.

Środkowa linia, czytana z góry do dołu, utworzy znaczenie powyższej figury.

Logogryf

Ułożyć 19 wyrazów w ten sposób, ażeby ich początkowe litery, czytane z góry do dołu, i końcowe z dołu do góry — utworzyły zdanie.

Znaczenie wyrazów:

1. Przeciwnicy dogmatu o Trójcy św.
2. Poeta angielski.
3. Autorka polska.
4. Imię męskie słowiańskie.
5. Część ciała.
6. Żołnierz turecki.
7. Metal.
8. Mowca ateński.
9. Przystanek kolejowy na Bukowinie.
10. Naród.
11. Imię męskie.
12. Poeta polski.
13. Dwie rzeki amerykańskie, połączone spójnikiem.
14. Miasteczko w Zachodniej Galicyi.
15. Imię męskie zdrobniałe.
16. Bogini.
17. Ptak.
18. Miasteczko na północ od Wilna.
19. Raj.

Do składni powyższych wyrazów użyć następujących sylab:

a, a, a, e, i, i, i, o, u, u, ya, wo, el, niec, ron, wa, tes, czar, ski, pi, ry, ryl, tur, ca, no, do, ko, cie, ko, se, kra, li, nau, za, ra, in, jan, by, chal, sław, daś, szko, ei, no, zra, ryt, cy, zo, ty, va, den, trzew, pu, nie, rze, le, ju.

Łamigłówka kwadratowa.

Ułożył W. K.

a	a	a	b	c	d
e	e	e	e	f	i
k	l	l	l	m	n
n	o	o	o	o	p
p	r	r	r	s	s
s	t	u	x	y	z

Rozrzucone litery w kwadracie uporządkować w ten sposób, ażeby poziome rzędy miały następujące znaczenia:

1. Jarzyna.
2. Imię męskie.
3. Wydatek.
4. Przywilej.
5. Sławny dramaturg za Ludwika XIV.
6. Miejscowość sławna z kopalni srebra.

Pierwszy rząd pionowy, czytany z góry do dołu, utworzy nazwisko poety polskiego z XIX. wieku, a ostatni rząd, czytany w przeciwnym kierunku, tytuł dzieła tegoż autora.

Jako nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych przeznaczamy:

„Klonowe Liście“. powieść W. Stefanyka.

Rozwiązania z Nru 2.

Rebus: Nie nowina, że teraz więcej popłaca miedziane czoło, niż złote serce.

Szarada: Kawalerowie.

Arytmogryf: Marya Konopnicka.

Dobre rozwiązanie nadesłali pp.: Ramułtowa, Niepielska, Walczak, Leitner, Dembiński, Struszkiewicz, Witoszyński, Habermann, Duszyński, Josefert, Chłopicka, Mokrzycka, Maruszczak, Walter, Tomaszewski, Kolbusz, Chodkiewicz.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. Jarosław Habermann w Mikulińcach. Prosimy o nadesłanie 50 hal. na koszta przesyłki.

KTO POSIADA MUZYKALNE UCHO

NAWET GDYBY NIGDY NA ŻADNYM INSTRUMENCIE GRAĆ SIĘ NIE UCZYŁ

MOŻE WYKONYWAĆ ZA POMOCĄ

SAMOGRAJÓW

NA KAŻDYM FORTEPIANIE I NA KAŻDEM PIANINIE

WSZYSTKIE UTWORY LITERATURY MUZYCZNEJ, NIE WYŁĄCZAJĄC NAJTRUDNIEJSZYCH

POD WZGLĘDEM TECHNICZNYM:

BIEGLE, CZYSTO I RÓWNO

JAK ŻADEN WIRTUOZ — NAWET NAJZNAKOMITSZY — WYKONAĆ NIE ZDOŁA

POD WZGLĘDEM DUCHOWYM:

DOWOLNIE WEDŁUG WŁASNEGO POJMOWANIA I ODCZUWANIA WYKONYWANEGO UTWORU.

PRZY JEDYNIE FIZYCZNEJ PRACY GRAJĄCEGO, WYKONANIE UTWORU PRZEZ SAMOGRAJE NIE RÓŻNI SIĘ NICZEM OD WYKONANIA PRZEZ JAKIKOLWIEK AUTOMAT JEŻELI NATOMIAST GRAJĄCY MUZYKĘ KOCHA I ROZUMIE, OD ILOŚCI I JAKOŚCI WYŁOŻONEJ PRZEZ NIEGO PRACY DUCHOWEJ ZALEŻY, O ILE WYKONANIE PRZEZ SAMOGRAJE PRZEWYŻSZY NAWET NAJIDEALNIEJSZE WYKONANIE NAWET NAJGENIALSZEGO WIRTUOZA.

SAMOGRAJE BEZ NUT KOSZTUJĄ:



PIANOLA. . . .	Koron	1400
PIANAUTO. . .	„	1200
ANGELUS. . .	„	1000
PIANISTA . . .	„	800
PARAGON. . .	„	600
ORGANISTA . .	„	400



WYŁĄCZNY ZASTĘPCA NA GALICYĘ I BUKOWINĘ: GABRYELSKI — KRAKÓW.

Poleca rozmaite wyborne gatunki

KAWY

codziennie świeżej

równo i pięknie palonej najnowszym i najlepszym sposobem **za pomocą gorącego powietrza** odznaczającej się najprzedniejszym czystym smakiem, pełnym i silnym zapachem, największą wydatnością, a zarazem posiadającą własność utrzymywania przez czas długi smaku i zapachu, w niezmienionej pierwotnej świeżości **po cenach bardzo przystępnych.**

Na prowincyę wysyła od czterech kilgr. począwszy **codzień świeżo** paloną kawę 2—14

= **opłatnie.** =

Pierwsza Krakowska

elektro-mechaniczna

PALARNIA KAWY



M. JAWORNICKI

KRAKÓW

Rynek gł. 44.

Najtańsze pismo humorystyczne »Bocian«

wychdzi 1 i 15 każdego miesiąca

Adres redakcyi i administracyi: **Kraków, Zielona 7** · Telefon 479

Za darmo

otrzyma każdy

wspaniały Kalendarz

„Bociana“ na rok 1905

zawierający około 100 illustracyi

kto zaprenumeruje dwutygodnik humorystyczno-satyryczny „Bocian“ na pół roku i nadeśle półroczną prenumeratę w kwocie **4 koron** wprost do centralnej Administr.

Kraków, ul. Zielona 7.

„MINIMAX“

najlepszy i najtańszy aparat do gaszenia ognia

Cena Koron 50 za sztukę

Ładunki rezerwowe po Koron 5.

Jener. Zastępstwo:

F. Lord, biuro techniczne

Kraków, Floryańska 55.

„Nowości illustrowane“ są wszędzie do nabycia.

Fabryczny Skład Płótna i Bielizny stołowej

M. Beyer i Spółka

Kraków, Sukiennice Nr. 12, 13, 14.

Zakład dla wyrobów ślubnych oraz magazyn bielizny męskiej, damskiej i dziecinnej · Główny skład bielizny wełnianej Prof. Dr. Gustawa Jaegera oraz wszelkich wyrobów trykotowych · Co dzień nowości w bluzkach i halkach ···· Telefon 266.

„PENSION NOUVELLE“

poleca pokoje umeblowane, każdy z osobnem wejściem, z całem utrzymaniem lub bez, dla osób przejezdnych i stałych mieszkańców, po cenach przystępnych.

ULICA ZACISZE L. 5, II. PIĘTRO, SCHODY NA PRAWO.

HOTEL I RESTAURACYA „METROPOLE“

KRAKOW, ULICA ŚW. GERTRUDY L. 28

poleca Szan. P. T. Publiczności bardzo elegancko urządzona na wzór zagraniczny pokoje od 2 K wyżej. Obsługa szybka.

Hotel posiada 40 eleg. urządzonych na wzór zagraniczny pokoi od 2 K. Ogród z werandą.



Stacya kolei elektr. Telefon do użytku P. T. Gości. Obok hotelu gł. urząd poczt. i telegr.

Znakomita kuchnia domowa. Potrawy b. smaczne w wielkim wyborze po przystępnych cenach. Piwo pilzneńskie beczkowe. Obsługa szybka i rzetelna. Z poważaniem S. KUBI'E.

„Merkury“ GAZETA LOSOWAŃ I HANDLOWA

Adres: Administracya „Merkurego“ w Krakowie, Rynek gł. l. 5.

Dokładne wykazy ciągnień, popularny dział handlowy.

Prenumerata całoroczna 3 kor. 60 hal.

Bezpłatne dodatki.

Rocznik finansowy i kalendarzyk bankowy.

NAJWIĘKSZY ZAKŁAD POGRZEBOWY

JANA WOLNEGO

jedyny w Krakowie, posiadający

własną Fabrykę Trumien, wielki wybór Trumien metalowych i z drzewa.

Główny skład przy ulicy św. Tomasza l. 4, tuż przy Placu Szczepańskim, telefon Nr. 331. — Filia przy ulicy Kopernika L. 6. 2—14

Zakład urządza pogrzeby od najskromniejszych do najwspanialszych ze znaną ścisłą punktualnością, uchylając pozostałej rodzinie wszelkich trudów. — Zakład podejmuje się przewozu i sprow..uzania zwłok ze wszystkich krajów Europy.

Ceny możliwie najniższe, na żądanie spłata ratami miesięcznie.

Katakomby (groby Wieczyste) do przechowywania zwłok tymczasowo lub do odstąpienia na wieczysty spoczynek.



Spłaty częściowe!

dozwolone za poprzedniem ustnem lub listownem porozumieniem się.

Bezsprzecznie największy wybór!

Renomowana i powszechnie znana firma

Dom towarowy „AU LOUVRE“

we Lwowie, ul. Sykstuska l. 6 (Pasaż Hausmana)

poleca swój obfity i bogato zaopatrzony skład wszelkich możliwych gatunków dywanów (także kościelnych i przed ołtarze) dywaników, portyer, firanek, chodników, kap na stoły i łóżka, cerat, linoleum, kołder, koców, der na konie oraz wszystkich innych przedmiotów dekoracyjnych po nader niskich cenach konkurencyjnych.

Za nadesłaniem nam marki pocztowej za 10 h. wysyłamy nasze bogato illustrowane cenniki, w których są opisane także towary lniane i bawełniane, bielizna męska i damska szyfony, płótna, bielizna stołowa i inne ważne artykuły, w zakres domowego gospodarstwa wchodzące. Zlecenia z prowincyi załatwia się odwrotnie.

By ujść pomyłkom, prosimy na nasz adres dokładnie zważać.

Z poważaniem Zarząd firmy:

Dom towarowy „Au Louvre“

5-14 **Lwów, Sykstuska 6.**

Założona w roku 1836

Fabryka spirytusu, rumu, rosolisów i likierów

pod firmą

Salo Goldfrucht

w Zniesieniu obok Lwowa

poleca znakomite wódki polskie, jak: kontoszówka, żytniówka, starka, koniak żytni 10-letni, ratafia, roztopczyn, z 1864 roku śliwkówka, gruszkowa, aprikotin i t. p. Wszystkie krajowe i zagraniczne rumy, jakoteż koniak francuski i śliwowicę węgier.

Wysyłka pocztą w 5-kilowych flaszkach blaszanych. Cenniik wysyła gratis i franko. 5—14

30 procent oszczędzi każdy na binoklach, okularach i t. d., kupując je u firmy:



T. ARMATYS

optyk i mechanik

Kraków, ul. Grodzka l. 6.

P. P. c. k. Urzędnikom, Akademikom i Studentom **jeszcze 10% opustu.** 1-?

Ostrzeżenie!

Precz z tandetnemi wyrobami wiedeńskich magazynów, które tylko na oko łudzą, a w rzeczywistości są sfuszerowane i liczą na naiwnych odbiorców.

Panowie! Kto chce mieć palto lub ubranie zimowe eleg., modne, ciepłe, lekkie, a trwałe, dobrze dopasowane, za przystępną cenę, niech zamówi u **Zygmunta Chilli**, krawca w Krakowie, **ul. Wielopole l. 3, obok głównej poczty.**

Wypożycza się fraki i anglezy.

Robi również za ugodą na raty.

Na prowincyę przesyła na żądanie próbki, jakoteż sposób brania miary.

»ARS«

Salon sprzedaży

rzeźb i obrazów

artystów polskich

Otwarty w dnie powszednie od 10—12 z rana i od 2—4 po południu

Bracka 1, I. piętro.

9-13

CUKIERNIA

Kazimierz Sotschek

LWÓW

poleca się P. T. Publiczności.

Bufet w teatrze miejskim.

Wszelkie zamówienia wykonuje odwrotną pocztą.

Kalendarzyk bankowy

na rok 1905 rozsyłamy bezpłatnie. Sprzedajemy losy na spłaty taniej od firm zagranicznych i bez pośrednictwa agentów.

Polecamy: 1 los m. Krakowa, 1 los Bazylika, 1 los Josziv za 155 kor., 31 rat po 5 koron.

Za gazetę losowań, ani za czeki pocztowe nic nie liczymy.

Schütz i Chajes, Dom bankowy we Lwowie, pl. Maryacki 7.

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Stanisław Lipiński. Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7.